WTOREK Nr 133 8 XI 1983 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NAJMNIEJSZY WŚRÓD LILIPUTÓW

Kiedy klown Raino Fischerknecht wjeżdża na arenę na swoim mini-rowerze, zrywa się burza oklasków. Jego występy są zawsze żywo przyjmowane przez publiczność. Kiedy zaś po występie, już w garderobie, zetrze z twarzy szminkę, zdejmie perukę i schowa do szafy kostium, staje się znów zwykłym mechanikiem – pracownikiem jednego ze szwajcarskich zakładów produkujących półprzewodniki. Rozśmieszanie ludzi – to jego pozazawodowe hobby. A jeszcze jednym jest budowanie miniaturowych rowerów.

PATRZ STR. 5

UWAGA, Czytelnicy!

Przypominamy, że już pojutrze mija termin przyjmowania prenumeraty „Świata Młodych" na rok 1984!

10 trylionów kombinacji!

DWA PIERŚCIENIE – nowa węgierska łamigłówka

WĘGRY (PAI). Po sukcesie kostki Rubika matematycy węgierscy opracowują nowe łamigłówki. Jedną z nich jest gra w dwa pierścienie. Kanały dwóch przecinających się pierścieni wypełnione są kulami czterech kolorów. Zadaniem gracza jest ułożenie ich w określonym porządku. Instrukcja podaje sześć przykładów ułożenia kulek, ale nie podpowiada, jak można je ułożyć. Matematycy są zdania, że gra w dwa pierścienie jest bardziej skomplikowana niż kostka Rubika i zawiera dziesięć trylionów kombinacji. **(jo)**

Samolot sterowany bezpośrednio mózgiem pilota!

USA (PAI). Zespół naukowców z Uniwersytetu Utah pracuje nad systemem, który pozwalałby sterować bezpośrednio samolotem za pomocą... mózgu pilota. W ten sposób można by znacznie skrócić czas reakcji maszyny na decyzję człowieka. Na uniwersytecie tym opracowano już sztuczną rękę – protezę sterowaną właściwie nerwowymi impulsami elektrycznymi. Obecne badania nad nowym systemem sterowania samolotem są prowadzone na zlecenie lotnictwa wojskowego USA, które wysygnowało na ten cel na razie 1,5 mln dolarów.

(jo)

„KINO LEKTUR SZKOLNYCH" W OLSZTYŃSKIEM

(PAP). Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów w Olsztynie zorganizowało tzw. „kino lektur szkolnych", którego celem jest wykorzystanie filmów jako jednej z pomocy w nauczaniu języka polskiego i historii w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych. Wspólnie z władzami szkolnymi opracowany został repertuar na bieżący rok szkolny, zawierający kilkadziesiąt tytułów polskich filmów fabularnych, będących adaptacjami dzieł literatury klasycznej i współczesnej.

„Kino lektur szkolnych" prowadzone będzie w sześciu miastach woj. olsztyńskiego – obok Olsztyna również w Bartoszycach, Iławie, Kętrzynie, Mrągowie i Ostródzie. Seanse odbywać się będą w zasadzie w każde sobotnie przedpołudnie.

(kl)

Specjalność nie tylko Włocławka

BUKIETY NA STOŁOWEJ ZASTAWIE

W kwiecistych wzorach, wyczarowanych lekkimi ruchami pędzelka na filiżankach, talerzykach, pojemnikach na przyprawy i wielu innych kuchennych drobiazgach kochają się nie tylko wytrawne gospodynie. Po prostu inaczej smakuje podana w takich naczyniach zwykła herbata czy kawa – choćby była tylko Inką. Mój mały sąsiad Tadek, tak jak ten z wiersza – niejadek, zmienił się nie do poznania odkąd mama podaje mu zupę na talerzach zdobionych na dnie prześlicznymi, różnokolorowymi kwiatami. Teraz Tadek „wiosłuje" jak szalony nawet przy znienawidzonym krupniku, bo ciekawy jest jaką malowaną niespodziankę odkryje na dnie talerza.

U nas z ręcznie zdobionej malunkami ceramiki słynie, i to na całym świecie, oczywiście Włocławek, w którym znajduje się fabryka fajansu. Ale ma on poważnych konkurentów i w innych krajach, m. in. w Czechosłowacji.

Na południu Czech miejscowość Chodovia już w odległych czasach słynęła garncarzami. Nie tylko zresztą nimi. Sztuka ludowa i rzemiosło zawsze tam kwitły. Choćby czarne, ludowe, pięknie haftowane stroje chodowian są dowodem ich wrodzonego smaku artystycznego.

Na początku XX wieku grupa tamtejszych drobnych rzemieślników wpadła na pomysł by zrzeszyć się w spółdzielnię i spróbować zdobyć szerszy niż dotychczas rynek. Na początku zajmowali się przede wszystkim produkcją pamiątek, zabawek no i szyciem ludowych strojów, które w tym rejonie są do dziś noszone w odświętne dni nie tylko przez członków ludowych zespołów. Ceramikę wytwarzano również – chałupniczo.

Majolikowe (bo tak się nazywa ceramiczne tworzywo chodowian) drobiazgi porywają oczy kolorowymi bukietami pełnych kwiatów. Wzory te są czerpane z wielowiekowej tradycji, a odkąd w 1970 roku ruszył spory zakład produkujący wyłącznie ceramikę, zostały jedynie odrobinę unowocześnione, dostosowane do aktualnych gustów. Tak więc Chodovia to dwa rodzaje ceramiki: czarna i biała. Ta pierwsza nawiązuje do czarnego koloru ludowego stroju i największym powodzeniem cieszy się u... Japończyków. Nie wiadomo czemu, ale makowe kwiaty na czarnym tle bardzo przypadły im do gustu i eksport do Japonii ciągle wzrasta. Biała ceramika, delikatniejsza w rysunku, której zdobienia utrzymane są w różowo-złocisto-błękitnym kolorycie podoba się przede wszystkim ponoć wyrafinowanym estetycznie Francuzom.

Fabryka fajansów w Chodovii eksportuje swe wyroby właściwie na wszystkie kontynenty. I choć jest fabryką – nie straciły one walory rękodzieła. Są wytwarzane na tradycyjnym kole garncarskim lub z tzw. wolnej ręki i później ręcznie przez artystów ozdabiane.

Mieszkańcy Warszawy mieli okazję podziwiać te barwne cudeńka na wystawie zorganizowanej przez Czechosłowacki Ośrodek Kultury i Informacji. Szczęśliwcy mogli je nawet kupić. Miejmy nadzieję, że nie był to traf wyjątkowy, bo fabryka fajansów w Chodovii nawiązuje kontakt z naszym Włocławkiem. Jeśli dojdzie do współpracy dwóch ceramicznych potentatów zaprzyjaźnionych krajów, to może naczynia z Włocławka będą równie trwałe jak ceramika naszych sąsiadów, a chodowianie będą mieli okazję wzbogacić swój kwietny repertuar wzorów – czego szczerze im i sobie życzy „Świat Młodych". **(eb)**

Fot. **M. Szymański**

Uwaga mieszkańcy Łodzi i okolic!

Małpka na królewskim dworze

● WYTNIJ, ZACHOWAJ ● WYTNIJ, ZACHOWAJ ●

KUPON TEATRALNY

Upoważnia do nabycia w kasie Teatru Powszechnego w Łodzi przy ul. Obr. Stalingradu 21 jednego biletu ulgowego na spektakl pt. „Uki-Puki" w dniu 13 listopada o godzinie 15.

● WYTNIJ, ZACHOWAJ ● WYTNIJ, ZACHOWAJ ●

Tym razem, z nadzieją, że ten kupon ukaże się na czas, a nie „po herbacie", i przepraszając mieszkańców Warszawy za zawód spowodowany awarią maszyny drukarskiej, zapraszamy Was w świat dziwów i czarów, który zamieszkują bohaterowie baśni muzycznej pt. „Uki-Puki". Uki-Puki to sympatyczna małpka, która bierze udział w niesamowitych i strasznych wydarzeniach, dziejących się na dworze króla Głębika. Wszystkim przygodom bohaterów baśni towarzyszy piękna muzyka i piosenki w wykonaniu aktorów „Teatru Powszechnego" w Łodzi.

Zatem uwaga! Spotykamy się w niedzielę, **13 listopada o godzinie 15** na spektaklu **w Teatrze Powszechnym w Łodzi.** Bilety ulgowe (za okazaniem kuponu teatralnego) w cenie: 55, 50 i 45 zł są do kupienia w kasie teatru już od dziś, tj. **8 listopada w godzinach 13.30–19.30, 9 listopada w godzinach 12.30–19.30, 12 listopada w godzinach 12.30–19.30** oraz **w niedzielę – 13 listopada już od godziny 10.00.** Dla pierwszych 10 osób, które zgłoszą się do kasy z kuponami, dyrekcja Teatru funduje podwójne bezpłatne zaproszenia. Wytnij więc zamieszczony obok kupon teatralny i pędź do kas Teatru Powszechnego w Łodzi przy ul. Obrońców Stalingradu 21. Kto pierwszy, ten lepszy! **(es)**

Tajemniczy czarownik warzy piekielną miksturę Fot. J. Neugebauer

REPORTER Świata Młodych

KRAJOBRAZ

LOP – DO DZIEŁA

Uważam, że temat ochrony środowiska powinien być o wiele częściej poruszany na łamach „Świata Młodych" i innych gazet, zarówno młodzieżowych jak i innych. Problemy ekologii są prawie całkowicie nie znane wśród zwykłych ludzi. A tymczasem czy można myśleć o ochronie wód, zatrudnanych przez fabryki, jeżeli prawie z każdego domu zbudowanego nad rzeką odprowadza się do niej ścieki kanałami. Czy można mówić o likwidowaniu ogromnych, nielegalnych wysypisk śmieci, jeżeli śmieci z każdego domu na wsi są wynoszone do pobliskiego lasu lub wysypywane do najbliższego strumienia? Czy można mówić o racjonaliu przyrody przez rabunkową gospodarkę leśną, jeżeli mało kto zna rośliny chronione, a jeżeli je nawet zna, to często wyrywa je, myśląc: „przecież tych roślin jest jeszcze więcej, to nie ostatnia z nich". Na pewno też nie przyczynia się do znajomości obecnych problemów środowiska jedna godzina przyrody w kl. VIII, lub tylko 50-tysięczny nakład bardzo ciekawego periodyku ZG LOP pt „Przyroda Polska".

Jeżeli już wspomniałem o LOP, to chciałbym powiedzieć, że ta wieloletnia i zasłużona organizacja społeczna powinna zwiększyć zakres swojego działania, zwłaszcza wśród młodzieży. Wiem, że w wielu szkołach działają bardzo prężnie szkolne koła LOP, ale w mojej ani w kilku sąsiednich wiejskich szkołach o takowych nigdy nikt nie słyszał. A przecież dzięki nim wielu uczniów mogłoby czynnie włączyć się w ochronę przyrody. Przecież uświadamianie o istniejącym stanie środowiska naturalnego powinno zacząć się już od przedszkola. Od klasy IV szkoły podstawowej powinno się wprowadzić nowy przedmiot „Problemy ekologii". W szkołach powinno się także szerzej omawiać na lekcjach j. polskiego utwory poświęcone pięknu przyrody, choćby „Puszczę Jodłową" S. Żeromskiego.

W środowisku szkolnym powinno się także zachęcać do uprawiania pieszej turystyki, dzięki której można o wiele więcej zyskać, niż wykładając „na sucho" tylko z podręczników. Dużo mogłyby także zdziałać broszury, zakładki do książek, plakaty, itp. wydawnictwa rozpropagowane wśród młodzieży.

Ale przecież terenem działania entuzjastów ochrony przyrody nie powinny być tylko szkoły. Także w zakładach pracy istnieje wiele kół LOP działających z wielkim zaangażowaniem, wielu członków zakładowych kół LOP-u społecznie działa w SOP-ie, penetrując m.in. tereny parków i rezerwatów.

Uważam, że sprawy ochrony środowiska są o wiele bardziej znane i rozumiane wśród młodzieży na Zachodzie. Świadczy o tym choćby istnienie takich organizacji jak partia „zielonych" w RFN czy zrzeszająca kilkudziesięciu śmiałków organizujących brawurowe akcje „Green Peace" („Zielony Pokój"). Ich dzielem są m.in. akcje protestacyjne przeciwko zabijaniu młodych fok, czy próbom z bronią nuklearną. Słyszna także stała się w RFN „klinika" zorganizowana w domu rencistki Doroty Unruh, w której młodzi zapaleńcy ratują ptaki wodne ginące z powodu wycieków ropy naftowej na Morzu Północnym. Także duże pole do popisu mają rządy państw świata, zawierając różnego rodzaju umowy międzynarodowe ochraniające przyrodę, no bo cóż z tego, że po jednej stronie jakiejś granicy przyroda jest chroniona, jeśli z drugiej strony fabryki nie mają oczyszczalni ścieków czy filtrów założonych na kominach? Przykładem takich umów może być choćby Konwencja Paryska z 1893 roku o ochronie ptaków. Duże znaczenie mają także sympozja i zjazdy naukowe organizowane przez naukowców różnych krajów, tak jak odbyte w czerwcu sympozjum w Wiedniu, na temat polityki edukacji środowiskowej w Europie. Duże znaczenie dla ochrony środowiska na świecie mają także rozmowy rozbrojeniowe, bo przecież w okresie wojny realizowanie haseł o ochronie przyrody jest niemożliwe. Hasło „Do ochrony środowiska przez pokój" powinno być realizowane przez całą ludzkość.

Roman Golesz
38-121 Pstrągowo 237
(członek Ligi Reporterów)

NA UROCZEJ WYSPIE WOLIN

Na uroczej wyspie Wolin nad pięknym Bałtykiem leży nieduża, malutka miejscowość: Świętouść. Co roku latem odbywa się w niej wiele obozów młodzieżowych i harcerskich. A miejscowość jest naprawdę piękna. Jezioro nazywa się Koprowo; jest duże... ale i brudne! Kiedyś było ono uroczym zakątkiem, ale dziś wygląda strasznie. Idąc nad jego brzegi możemy spotkać małe strumyczki wpadające do jeziora. Są one głębokie na około 30 cm, ale woda jest w nich tak brudna i mętna, że nie można zobaczyć dna. Gdy zuramy w niej patyk, to może będziemy mieć takie „szczęście", że wyłowimy jakąś butelkę lub puszkę... Oczywiście na dnie nie ma żadnej roślinności, a zapach unoszący się znad wody nie należy do najprzyjemniejszych.

Woda w samym jeziorze jest wstrętna, mętnawa i śmierdząca. Unosi się na niej bury kożuch piany powstałej z zanieczyszczeń. Oczywiście w wodzie nie ma żadnego życia, a jeśli już jest... Druhowi obożnemu udało się kiedyś złowić ryb. Gdybyście ją zobaczyli... ta ryba była po prostu przeźroczysta. Na drobnym szkieleciku leżała galaretowata błona, która stanowiła ciało tej ryby. Ani razu nie udało się nam zobaczyć nad tym jeziorem żaby, ropuchy czy jakiegoś innego zwierza. Roślin w wodzie też nie ma.

Czytając ten list wielu z Was zapewne zadaje sobie pytanie: „Dlaczego tak się stało?" Odpowiedź jest prosta, to jezioro przegrało walkę z morzem. Znowu się dziwicie: „Jak to przegrało?" Zaraz to spróbuję wyjaśnić...

Jak wiecie Świętouść leży nad morzem. A więc w sezonie letnim zjeżdżają się tam masy wczasowiczów i turystów. Wiele miast nad morzem, niestety, nie jest przygotowanych na ich przyjęcie. Chodzi o tzw. „pozostałości". Władze jednak zauważyły, że niedaleko jest nieduże jezioro. Może by więc tam, bo do morza nie wolno. Więc wylewa się tam wszystko co pozostaje po turystach. Prawie w każdy drodze między Kołczewem a Międzywodziem masę cystern wypełnionych nieczystościami. I to wszystko zostaje wylewane do jeziorka. Nad jeziorem zbudowano nawet nabrzeże i ogrodzono je płotem „aby było wygodniej pracować". Tej całej „robocie" patronuje Przedsiębiorstwo Wylewów Ścieków i Nieczystości Miejskich. Ja tak nazwałam to przedsiębiorstwo, gdyż nie pamiętam jego prawdziwej nazwy.

Nasuwa się pytanie: Jak to będzie wyglądać za kilka lat? Jeśli sytuacja się nie zmieni, to do Świętouścia i pobliskich okolic nikt nie będzie chciał przyjechać! I tak gin nie piękne niegdyś Koprowo. Tak ginie polska przyroda. Tak ginie zapewne wiele innych miejsc w Polsce.

Ciekawa jestem, gdzie są wszystkie organizacje, które wymieniłam na początku listu? Byłabym bardzo rada, gdyby i one zabrały głos, wytumaczyły się!

Jak można było dopuścić do tego? Jak ci, którzy wydali wyrok na to jezioro mogli to zrobić? Gdzie oni teraz są? Co robią? A może wydają już wyrok na inne miejsce?

Agnieszka ze Szczecina

REDAKCYJNA POCZTA

Radość życia

Mam 14 lat. Mieszkam na wsi. W tym roku zaczęłam prenumerować „Świat Młodych" i z zainteresowaniem czytam „RP". Mam swoje smutki i radości. Mam także swoją sympatię. Sama nie jestem ani nadzwyczajnej urody, ani dziewczyną bez wad – ideałem. Przeciwnie, mam bardzo wiele wad. Robię figle w szkole, zaczepiam dziewczęta i chłopców, tzn. „gram" im na nerwach. Lubię „Bajm", „Lady Pank", „Perfect", „Maanam" itd. Zbieram zdjęcia Elvisa Presley'a oraz uwielbiam czytać książki. Tak więc chyba jestem taka jak przeciętna dziewczyna. Ale czasami zadrżawia mnie i zastanawia bezmyślność niektórych nastolatków przelewających łzy na próżno. Jedni z samotności, drudzy dlatego, że są nieubłani, lub kochają nie odwzajemnioną miłością. Co gorsza narzekają na piegi i inne „ubytki" urody (a przecież każdy jest ładny na swój sposób).

Chłopcy i dziewczęta! Pomyślcie również o innych! Porównajcie się z nimi i zastanówcie! Jesteście nieubłani, niekochani i samotni. Jesteście brzydcy i nieszczęśliwi. A przecież na świecie jest tyle ludzi nieuleczalnie chorych (np. głusi, niewidomi) którzy uważają się za szczęśliwych, umieją znaleźć radość w swoim nielekkim przecież życiu. I mimo to, że życie ich upłynie w wózku inwalidzkim, w szpitalu, w zakadzie opiekuńczym, nie rozpaczają nad sobą, potrafią pogodzić się z losem i poszukać dobrych chwil, cieszyć się z małych sukcesów. Na pewno pomyślicie sobie – ale truje. Nie wiadomo jak sama postępuje na co dzień. I macie rację. Zapominam się często i nie raz, nie dwa płaczę nad wyrządzoną mi przez świat krzywdą, nad nieodwzajemnioną sympatią. Zazdroszczę pięknym ludziom ich zalety. Nigdy jednak nie zapomnę dwóch miesięcy przeleżanych w szpitalu. Tych myśli i tęsknoty do domu, do normalnego życia, które wydawało mi się rajem. Tam chyba zrozumiałam, jak wiele warte jest zdrowie i życie i jak należy je cenić i starać się przeżyć je najlepiej i najpiękniej.

Napiszcie, co myślicie o mnie, o moim zdaniu na ten temat. Może mnie skrytykujecie! Czekam na odzew z Waszej strony.

„Antenka"

Natrętna koleżanka

Mamy dziwną koleżankę. Codziennie przesiaduje u nas w domu do późna wieczorem. Chociaż zdarza nam się wypraszać ją z powodu długich odwiedzin, ona nie znika się i nadal przychodzi. Kiedy jemy drugie śniadanie, podchodzi do nas i wprasza się na poczęstunek. Do tego jest bardzo wścibska. Zaglądą do szafek w naszych pokojach, grzebie w szufladach, wszystko musi zobaczyć i dotknąć. Przy tym chociaż chodzi dopiero do szóstej klasy, kopci papierosy, a jej słownictwo pozostawia wiele do życzenia. Jak ją zmienić?

Anka i Żaneta

Muzyczne kłopoty

Mam piętnaście lat. Interesuję się muzyką poważną. Chodzę z chłopcem, który ma zupełnie inne upodobania muzyczne. On lubi tylko muzykę współczesną. Z tego też powodu występuje między nami często ostra wymiana zdań. Artur zarzuca mi, że jestem niedzisiejsza. Nie wiem co robić. Czy zerwać z Arturem, czy też pozbyć się własnych zainteresowań.

Justyna S.

Ważne sprawy „Biura POD"

SOLIDNI I NIESOLIDNI KLIENCI

„Biuro POD" (Poszukuję, Odstąpię, Doradzę) powoływaliśmy do życia z myślą, że dziewczęta i chłopcy pomagali sobie nawzajem w pokonywaniu niedogodności, jakie niesie ze sobą kryzys. Jak wiecie, „Biuro POD" działa, (ogłoszenia na łamach „SM" zamieszczamy dość często) i „kolejka" listów z ofertami nie maleje, a rośnie. A nam rosną serca, jeśli otrzymujemy informacje podobne do tej, którą przysłał Andrzej Pasula:

„Dziękuje za zamieszczenie mojego listu w „Biurze POD". Otrzymałem książkę „Kamienie na szaniec" od koleżanki Iwony Jeleniewskiej z Gdyni. Chciałem jej za Waszym pośrednictwem jeszcze raz podziękować. Nie wiem też co bym zrobił bez Waszej pomocy. Myślę, że właśnie takie przypadki, jak mój, najlepiej świadczą o tym, iż jesteście nam, nastolatkom, potrzebni.

Andrzej Pasula z Krakowa

Andrzejowi serdecznie dziękujemy za ten jakże ważny list, bo utwierdził nas w przekonaniu, iż „Biuro POD" właściwie spełnia swoją funkcję i że wzajemna pomoc jest Wam nadal potrzebna.

Równocześnie jednak wszystkich Czytelników, a zwłaszcza dziewczęta i chłopców zainteresowanych działalnością „Biura POD" jesteśmy zobowiązani poinformować, iż otrzymujemy (co prawda bardzo rzadko, raz na kilka miesięcy) – sygnały podobne do tego, jaki w swoim liście przedstawia Aleksandra W. z Katowic:

„Postanowiłam napisać list do „Świata Młodych" nie po to, żeby redakcja pomogła i w mojej sprawie, lecz po to, żeby stanowił przestrogę dla innych czytelników, którzy za pośrednictwem „Biura POD" poszukują interesujących ich książek – niejednokrotnie cennych i trudnych do zdobycia w zamian za inne książki. Nie wątpię wcale w celowość istnienia tego kącika – wręcz przeciwnie, uważam je za bardzo pożyteczne. Problem stanowi uczciwość osób zgłaszających chęć dokonania wymiany. A jak to wygląda w moim przypadku?

W zeszłym roku jesienią mój list został zamieszczony w „SM" w „Biurze POD". W zamian za książkę Edwarda Kopczyńskiego „W pułapce" proponowałam książki A. Szklarskiego z serii „Przygód Tomka". Z wielu listów wybrałam jeden, napisany przez Krzysztofa M. w woj. białostockiego, zawierający wykaz książek, które może mi wysłać za kolejne „Tomki". Uradowana wysłałam dwa „Tomki" wraz z trzecią książką – niespodzianką. Książki do adresata dotarły – pisał o tym; ja szukałam kolejnych „Tomków" w antykwariatach i czekałam na jego rewanż. Po kilku listach, gdy domagałam się zwrotu książek, przyznał, że owe listą książek była zmyślona – a on może wysłać mi jakieś komiksy lub pieniądze, lecz gdy je zarobi. To było w maju – teraz jest październik; pogodzona z utratą książek przez nieuczciwość owego „kolegi" pragnę ostrzec innych przed takimi partnerami, a ewentualnej wymiany proponuję dokonywać za pisemną zgodą rodziców obu stron.

Aleksandra

Do listu Aleksandra dołączyła dowód nadania paczki ważącej 600 g. za którą zapłaciła 15 zł.

Cóż można dodać do tego, co napisała Ola? Że jest nam bardzo przykro? Że przestrzegamy przed nieuczciwością? Że wstyd? Że mamy dokładny adres Krzysztofa M. z woj. białostockiego i że moglibyśmy go podać do publicznej wiadomości?

Zrobimy inaczej: napiszemy do Krzysztofa list i zobowiążemy go do załatwienia sprawy w określonym terminie, to znaczy do odesłania książek ich właścicielce, a także zwrotu kosztów przesyłki, które wynoszą najmniej 15 zł (nie licząc opłaty za znaczki pocztowe). Zobowiążemy go całże do przeprosznia Aleksandry. I zobaczymy co będzie dalej.

„Biuro POD" nadal będzie istniało i działało. Dla uczciwych.

Może warto się zastanowić nad propozycją Oli, żeby wymiany dokonywać za zgodą rodziców. To już zależy od Waszego uznania, od prywatnej umowy, bowiem zawieracie ją na własną odpowiedzialność.

Na zakończenie przypominamy, iż **nazwa „Biura POD" oznacza: Poszukuję – Odstąpię – Doradzę.** Często zapominacie o tej ostatniej funkcji „Biura". Wraz z zainteresowanymi czytelnikami poczekujemy na rady praktyczne, dotyczące wielu dziedzin życia, choćby np. jak zrobić coś z niczego (przerobić, doszyć, uciąć), upichcić tanią a smaczną potrawę, czy placek, zrobić kapcie lub skarpetki na zimę, jak uszczelnić okna, żeby było cieplej itp. itd. **Każdy pomysł się liczy!**

A zatem – „Biuro POD" jeszcze raz poleca swoje usługi i żywi nadzieję, iż zaden jego klient nigdy, nigdy nie będzie niesolidny.

BARBARA SKÓRSKA

Spotkania

ODDECH BURZY

Z radia płyną tony rosyjskich ballad i romansów, które tak lubię. Za oknem szarzeją już jesień jak z Jesieninowego wiersza:

„Zżęta pola, gaj bezpiory, wody tchną wilgocią zgniłą, kołem za błękitne góry słońce cicha się stoczyło. Drzemią drogi koleiny, im się dzisiaj przywidziało, że do przyjścia siwej zimy już tak mało dni zostało. Ach, i sam widziałem wprzódy, zza wieczornej mgły firanek, jak źrebakiem księżyc rudy wprzęgał się do naszych sanek."

Nie ma jeszcze śniegu, ale taki księżyc widziałem właśnie nad Warszawą wczorajszego wieczoru. A śnieg? Pamiętam i śnieg w dniu takim jak wczorajszy. Kilkanaście godzin temu leżałam wtedy jeszcze na czarnomorskiej plaży, ciesząc się słońcem i wodą, a po niedługiej podróży samolotem znalazłem się w Moskwie, gdzie słupek rtęci w termometrze spadł gwałtownie poniżej zera i trzeba było wkładać na siebie wszystko, co się tylko do tego nadawało, by pospacerować po mroźnej, śnieżnej i kolorowej radzieckiej stolicy. Tak, najpierw w gęstym szpalerze ludzi, z którymi razem tuż koło Placu Czerwonego odbierałem wojskową defiladę, a potem długi wieczorny spacer wśród girland kolorowych żarówek i radosnego tłumu. Byłem właśnie na jakimś moście, kiedy wszystkimi barwami otwarło się nade mną niebo. Nigdy więcej nie widziałem takiego bukietu sztucznych ogni! A przechodnie padali sobie nawzajem w objęcia i składali świąteczne życzenia.

Sergiusz Jesienin ten wiersz o jesieni napisał właśnie w 1917 roku. Jak wyglądał wtedy „dzisiejszy" dzień, dzień ósmy listopada?

Amerykański świadek rosyjskich „dziesięciu dni, które wstrząsnęły światem", dziennikarz John Reed, w tak właśnie zatytułowanej głośnej książce, którą „z ogromnym zainteresowaniem i nie słabnącą uwagą" przeczytał sam Lenin, pod tą datą napisał:

„Dzień zaświtał. Miasto znajdowało się w stanie wyjątkowego podniecenia i zamierzania – słychać było daleki oddech nadciągającej burzy...

Pozornie nic się nie zmieniło. Setki tysięcy ludzi kładły się spać, wstawały i chodziły do pracy o zwykłych godzinach. W Piotrogrodzie tramwaje kursowały normalnie, sklepy i restauracje były otwarte, a teatry i wystawy malarskie przyciągały publiczność... Wszystkie tryby skomplikowanego życia codziennego, jednostajnego nawet podczas wojny, pracowały normalnie. Zaiste, trudno chyba znaleźć coś bardziej niewiarygodnego niż żywotność organizmu społecznego, który nawet w obliczu najgorszych kataklizmów nie przestaje odżywiać się, ubierać i bawić..."

W czasie tego samego mojego pobytu w Moskwie stałem później w długiej kolejce do Mauzoleum Lenina. Właściwie kolejki były dwie. Ta nasza – dla cudzoziemców – krótsza, i druga wijąca się po całym placu, w której tego dnia nie brakło chyba przedstawicieli żadnej z radzieckich republik. Można to było poznać po różnicach w ubiorze, po rysach twarzy. Wszyscy posuwali się w milczeniu, by po długim czekaniu stanąć twarzą w twarz z Nim.

John Reed pod tą samą datą ósmego listopada 1917 roku zapisał:

„Punktualnie o ósmej czterdzieści grzmiące oklaski przywitały wchodzące prezydium, w którym znajdował się wielki Lenin. Niewysoki, krępy, wielka łysa głowa, mocno osadzona na barkach, małe oczy, duży nos, szerokie szlachetne usta i wydatna szczęka. Na świeżo ogolonej twarzy ledwie zarysowywała się tak dobrze znana bródka. W znoszonym ubraniu, w mocno przydługich spodniach, człowiek ten nie wyglądał na bóstwo tłumu ani na wodza kochanego i czczonego, jak chyba niewielu. Niezwykły to przywódca narodu, przywódca zawziętej walki o wszystko własnemu intelektowi, pozbawiony wszelkiego pozerstwa, nie ulegający nastrojom, nieugięty, bezkompromisowy, nie uciekający się do żadnych efektownych chwytów – ale za to obdarzony wspaniałą umiejętnością objaśniania najgłębszych idei najprostszymi słowami i wyjątkową zdolnością analizowania konkretnych sytuacji, łączący to wszystko z niepospolitą odwagą myślenia i ogromną przenikliwością."

Milczenie Mauzoleum. Wyprężona honorowa warta żołnierzy. Wieńce i wiązanki kwiatów. Cicha, nie wiadomo skąd dobiegająca muzyka. Pochylone głowy. I twarz, którą znają wszyscy.

A wtedy?

„Wreszcie na trybunę wszedł Lenin. Stał ściskając palcami krawędź pulpitu, małymi mrugającymi oczyma wodził po tłumie i, najwidoczniej obojętny na szalejącą owację, czekał. Gdy po paru minutach uspokoiło się, rzekł po prostu:

– No, a teraz przystąpimy do tworzenia socjalistycznego ustroju! – Znów potężny entuzjastyczny ryk. – Pierwszą naszą sprawą będzie wybór praktycznych środków zrealizowania pokoju..."

Dlaczego nasze dzisiejsze spotkanie poświęciłem tak odległym sprawom? Bo – po pierwsze – były to dni, które nie tylko wtedy wstrząsnęły światem. Wstrząsają nim nadal. A po drugie – bo i dziś pierwszoplanowe zadanie jest takie samo: pokój.

„Ale i wtedy, gdy z całej planety zniknie nienawiść plemion, smutku nie będzie ani kłamstwa już..." – tak zaczynał ostatnią zwrotkę wiersza „Ruś Sowiecka" ten sam Sergiusz Jesienin.

Kiedy to będzie?

Jarek

Na mapie świata

- **Irański Port Bandar Chomeini zaminowany**
- **Zamach w Bejrucie**
- **Europa Zachodnia nie chce nowych rakiet**
- **Po 37 Sesji RWPG**

Wojna irańsko-iracka trwa już ładnych parę lat. Raz się nasila, to znów cichnie. W ciężkich walkach na pustyni obie strony ponoszą straty. Zabitych liczy się już w setkach tysięcy, w tym dużo ludności cywilnej, poległej pod gruzami bombardowanych miast. W ostatnich dniach dochodzą do nas wiadomości o jej eskalacji. Dlaczego tak się dzieje? Warto uświadomić sobie, rozpatrując ten problem, skąd oba państwa biorą pieniądze na sprzęt wojenny, amunicję i wszystko, co jest potrzebne do prowadzenia wojny. Odpowiedź brzmi: z ropy naftowej. Jest to jedyne źródło dolarów, dzięki którym można wojować i żyć. A ludności cywilnej żyje się coraz gorzej, wszystko idzie dla wojska, półki sklepowe świecą pustkami.

Iran i Irak bardzo zmniejszyły wydobycie i eksport ropy. Stało się to na skutek wojennego zniszczenia rafinerii, rurociągów i portów, z których wysyła się ropę w świat. Czynne rafinerie, rurociągi i porty strzeże się jak oka w głowie. Gdyby jedno z walczących państw straciło możliwość eksportu ropy, oznaczałoby to dla niego przegraną wojnę.

Tak potoczyły się losy wojny, że Iran uzyskał przewagę na lądzie, Irak w powietrzu i na wodzie. Oba państwa wykorzystują te atuty. Bagdad, chcąc umocnić się jeszcze bardziej w powietrzu, zakupił we Francji 5 myśliwców – „Super-Etendard'' wyposażonych w rakiety „Exocet'', przed którymi obecnie Iran nie ma obrony, a zdaje sobie doskonale sprawę z faktu, że Irak użyje ich przede wszystkim do zniszczenia portów eksportujących ropę.

Teheran odpowiedział nową ofensywą lądową, w której jakoby odnosi duże sukcesy. Jednocześnie straszy cały świat zachodni, że w wypadku użycia przez Irak francuskich myśliwców, zamknie Zatokę Perską zaminowując cieśninę Ormuz, odcinając tym samym strumień ropy płynący do państw zachodnich, co całkowicie załamałoby ich gospodarkę.

Piloci iraccy zostali już przeszkoleni we Francji. Czy ruszą do ataku – zobaczymy...

Na razie Bagdad zaminował wejście do irańskiego portu Bandar Chomeini. Komentatorzy polityczni uważają, że jest to odpowiedź na pogróżki irańskie. W każdym razie obecna sytuacja nie zapowiada rychłego końca wojny.

22 października br. o godzinie 6 rano Bejrutem wstrząsnęła potężna detonacja, po minucie druga. Okazało się, że był to zsynchronizowany zamach na kwaterę główną amerykańskiej piechoty morskiej. Z 3-piętrowego budynku leżącego nieopodal lotniska została kupa gruzów, pod którymi poniosło śmierć ok. 200 żołnierzy amerykańskich, 59 odniosło rany. Drugi wybuch zmiótł z powierzchni ziemi 8-piętrowy gmach, w którym stacjonował francuski kontyngent wojskowy. Budynek stał w pobliżu centrum miasta. Spod gruzów wydobyto 8 zabitych i 17 rannych, 48 żołnierzy uznano za zaginionych. Obu zamachów dokonali kierowcy-samobójcy, prowadząc wyładowane materiałem wybuchowym ciężarówki. Do zamachu przyznał się „Ruch Wolnej Rewolucji Islamskiej'', podając też do wiadomości, że obaj bojownicy ruchu zginęli w ataku *„na siedziby imperialistycznych agresorów amerykańskich i francuskich''*.

W całej Europie Zachodniej odbywały się wiece, na których ponad 2 mln ludzi protestowało przeciwko wojennej polityce NATO oraz przeciw instalowaniu nowych eurorakiet, jak też zakładaniu nowych baz wojskowych. W Sztokholmie, Londynie, Paryżu, Wiedniu i innych miastach manifestacje odbywały się w skupieniu i spokoju, mimo to policja dokonywała aresztowań.

Znaczącym akordem zakończył się w RFN trwający od 15 października tydzień akcji na rzecz pokoju. Odbył się ogromny festyn, w którym wzięło udział ok. 1,3 mln ludzi. Centralna manifestacja miała miejsce w Bonn. Kilkadziesiąt tysięcy trzymających się za ręce demonstrantów otoczyło żywym łańcuchem dzielnicę rządową, stworzono też gwiaździsty system żywych łańcuchów między ambasadami wszystkich państw posiadających broń atomową. Po południu w centrum miasta odbył się wiec pod hasłami: „Czas nadszedł – powiedzieć nie!'', „Żadnych nowych rakiet w naszym kraju!'' Obecnych było ok. 400 tys. ludzi. W czasie tego wiecu wystąpił również z przemówieniem W. Brandt (był to pierwszy przypadek wystąpienia przywódcy SPD na imprezie na rzecz pokoju). Były kanclerz powiedział m.in. *„nie potrzebujemy już broni masowego zniszczenia w naszym kraju''*.

37 Sesja RWPG, która odbyła się w sali konferencyjnej hotelu „Stadt Berlin'', obradowała w czasie bardzo złożonej sytuacji międzynarodowej. Ale chyba jak żadna inna nie wiązała tak bardzo problematyki współpracy gospodarczej z sytuacją na świecie. Opracowano na Sesji konkretne programy działania dotyczące racjonalizacji gospodarki surowcowo-energetycznej oraz rozwoju rolnictwa i problemów żywnościowych. Oba te programy są zbieżne z naszymi wysiłkami na rzecz stabilizacji ekonomicznej, a potem rozwoju. O znaczeniu współpracy, z trybuny 37 Sesji RWPG, premier PRL WOJCIECH JARUZELSKI powiedział m.in. *„W wymianie z większością krajów RWPG obroty zrównoważyliśmy, stając się na powrót równorzędnym partnerem. Natomiast w obrotach ze Związkiem Radzieckim od szeregu lat import przewyższa eksport. Jest to wyraz braterskiej pomocy ZSRR dla socjalistycznej Polski. Pragnę za nią raz jeszcze serdecznie podziękować. Dziękuję również wszystkim tym przyjaciołom, którzy w najtrudniejszym dla nas okresie okazali tyle zrozumienia i życzliwości.''*

Na Sesji w oświadczeniu, podpisanym przez premierów rządów krajów członkowskich RWPG – dano wyraz zaniepokojeniu z powodu wyścigu zbrojeń i instalowaniu przez USA nowych rakiet w Europie. *(ww)*

KRONIKA WOJENNYCH WYDARZEŃ

Praca nadesłana na konkurs „Drogi do Wolności''

OSIEMNASTOLETNI DOWÓDCA

W dniu 28 listopada 1944 roku melduję się u dowódcy 8 pułku piechoty 3 Dywizji Piechoty w Brzezinach pod Jabłonną. Okazuje się, że pluton, którego dowództwo mam objąć, znajduje się w okopach na pierwszej linii frontu. Łącznik kompanii ma mnie tam zaprowadzić.

Idziemy obok stanowisk dział i moździerzy, ścieżkami wśród krzaków i sadów. Wszędzie widoczne ślady niedawnych walk. Dużo spalonych czołgów, niestety w większości naszych. Widoczny z prawej las – to tylko kikuty, bez gałęzi, żałośnie sterczące w niebo – roztrzaskane przez pociski pnie drzew. Domy zburzonę i spalone. Wszędzie leje po wybuchach pocisków. Wreszcie między budynkami wchodzimy do rowów łącznikowych, gdyż teren jest pod obserwacją wroga. Teraz jest cicho i nic nie wskazuje na bliskość pierwszej linii. Mijamy wielu żołnierzy taborowych, łączników, aż ciężko się wyminąć w wąskim zygzakowatym rowie. Wchodzimy do ziemianki, w której jest prawie ciemno. w kącie przy stoliku żołnierz i aparat telefoniczny. Na stole lampa naftowa. Na drewnianej pryczy leży przykryty płaszczem jakiś oficer. To dowódca batalionu strzeleckiego, na odcinku którego jest rozmieszczony mój pluton z pułkowej kompanii rusznic przeciwpancernych. Melduję się. Zostaję zapoznany z sytuacją. Goniec wprowadza sierżanta Andrzeja Babulę, który do tej pory pełnił obowiązki dowódcy plutonu. Sierżant oprowadza mnie po stanowiskach bojowych naszych rusznic rozmieszczonych wzdłuż linii okopów. Głębokie rowy kryją nas przed okiem wroga. W niszach (wykopy w bocznej ścianie okopu) nakryte plandekami rusznice, granaty przeciwczołgowe, butelki z płynem zapalącym, a na stanowiskach wkopane miotacze płomieni i CKM-y. Te środki przeciwpancerne zgromadzone są w dużej ilości, ponieważ teren, jaki zajmujemy, jest wręcz wymarzony do użycia czołgów, a z tym się musimy liczyć.

Od strony Niemców biegnie do nas szosa Nowy Dwór – Jabłonna.

Dziwnie się czuję. Jeszcze dwa dni temu przeżywałem uroczystą promocję w Szkole Oficerskiej w Mińsku Mazowieckim. Promował mnie generał Wsiewołod Strażewski, który położył mi szablę na ramieniu i powiedział: mianuję was chorążym Wojska Polskiego w korpusie oficerów piechoty... Później przyjęcie gwiazdek blaszanych do przypięcia na naramiennikach, i białej nitki. Defilada. W szkole miałem mundur szeregowego, ten sam mam i teraz – tylko te dwie gwiazdki przedzielone białą nicią różnią od szeregowca. Powiedzieli w szkole, że otrzymamy w pułku umundurowanie. W pułku zdziwili się, że oficerskiego wyposażenia nie otrzymaliśmy w szkole...

A dzisiaj już inna rzeczywistość. Niespełna osiemnastoletni dowódca i oficer. Wielka odpowiedzialność za siebie i żołnierzy. Jacy oni są? Wreszcie wątpliwość – czy podołam? Wchodzimy do bunkra. duża prycza po lewej stronie i nad nią okienko, nawet oszklone, wychodzące na nasze tyły. Później dowiedziałem się, że ten bunkier budowali żołnierze naszej kompanii przez wiele nocy, a belki stropowe były noszone z budynków aż z Jabłonny.

W bunkrze są zebrani żołnierze i podoficerowie. Wszyscy wiedzą już, że przyjdzie nowy dowódca plutonu. Stoją na baczność. Pierwszy raz od czasu promocji ktoś mnie honoruje. Narasta we mnie uczucie pewności siebie. Jestem obserwowany. Staram się zrozumieć co oni myślą o mnie. Sierżant Babula przedstawia mnie jako dowódcę plutonu. Przedstawiają się dowódcy drużyn sierżanci: Eugeniusz Łukiańczuk, Bazyli Golik i kapral Marynowski. Sierżant Łukiańczuk przedstawia ewidencję uzbrojenia i stan wyposażenia. Pytam kolejno każdego, z jakich stron pochodzi. Okazuje się, że w jednostce na linii są niedawno. O te tereny nie walczyli. Najstarszy, Bajbus, lat 56, pochodzi z Wileńskiego, kilku żołniezy z września 1939 roku – z powiatu Suwałki. Reszta – młodzi z Wołynia, Polesia i Tarnopolskiego.

Opowiedziałem im o sobie. Odtąd wolny czas poświęcaliśmy na rozmowy, w których starałem się nawiązać do sytuacji politycznej, co do której byłem dobrze przygotowany jeszcze w szkole oficerskiej. Co tydzień następowała zmiana plutonów w naszej kompanii na pierwszej linii.

Zostałem dowódcą pierwszego plutonu pułkowej kompanii rusznic p. pancernych i jednocześnie zastępcą dowódcy kompanii. Dowódcą kompanii był porucznik Szyrko – oficer radziecki.

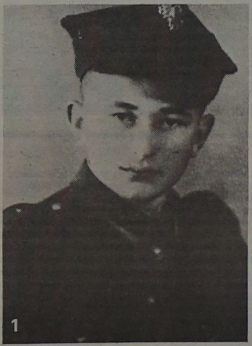

Fot. 1. Tak się prezentował Edmund Żwan jako 18-letni dowódca plutonu rusznic przeciwpancernych
Fot. 2. Pan major Edmund Żwan przemierzył szlak bojowy z I Armią WP walcząc w 8 pułku piechoty. Obecnie jako emerytowany wojskowy sprawuje funkcję wiceprezesa Zarządu Powiatowego ZBoWiD w Głubczycach i bardzo chętnie spotyka się z młodzieżą. Repr. **W. Mroczek**

Dnie schodziły na ustalaniu służb, zaopatrywaniu się w żywność, amunicję oraz odprawy oficerów, szkolenia polityczne i bojowe. Były też urozmaicenia w postaci pojedynków artyleryjskich, wypraw po „języka'', a pewnego mroźnego poranka na naszym odcinku został przeprowadzony zwiad bojem w sile kompanii strzeleckiej, krwawo okupiony przez naszych żołnierzy. Taki sam zwiad bojem przeprowadzili nasi sąsiedzi z prawej strony, tj. żołnierze radzieccy. Staliśmy na styku Armii WP i Armii Czerwonej.

W kompanii pułkowej fizylierów był kolega z mojej wsi – Władysław Krzaczkowski, z którym widywałem się prawie codziennie. Pewnego grudniowego poranka jego kolega zawiadomił mnie, że Władek zginął w nocy na lewym brzegu Wisły, w czasie wyprawy po „języka''. Przeprawili się bez trudu na tamten brzeg. Mieli już nawet Niemca. Władek osłaniał z kilkoma fizylierami odwrót i wtedy hitlerowcy rozpoczęli straszliwy ogień z broni maszynowej. Zorganizowali pościg. Fizylierzy osłaniali swoich ogniem pepesz i granatami. Władek w momencie rzutu granatem został trafiony w ramię pociskiem. Granat wypadł mu z ręki i eksplodował tuż przy nim, raniąc go ciężko. Koledzy przetransportowali go na prawy brzeg Wisły, ale już nie żył. Pozostałym, wraz z „językiem'', udało się cało wycofać pod osłoną naszego ognia artyleryjskiego.

Wracając do wspomnień spod Jabłonny, chciałbym dodać, że będąc na pierwszej linii zajmowałem się wykrywaniem środków ogniowych nieprzyjaciela, podawaniem codziennych meldunków do sztabu batalionu, wykonywaniem szkiców ogniowych, kontrolą gotowości bojowej itp.

Pogoda w listopadzie i grudniu przez większość dni była mroźna. ale słoneczna i śniegu prawie nie było. Noce gwiaździste, raz po raz rozświetlane ogniem rakiet oświetlających. Na moim odcinku odległość naszych okopów od niemieckich wynosiła około 150-200 metrów. Nieprzyjaciel usadowiony był na wale przeciwpowodziowym, między nami znajdowała się mała dolinka, a nasze okopy umieszczone na lekkim wzniesieniu przed wsią.

Obserwując Niemców widziałem rząd drutów kolczastych przed ich okopami, a przed tym jeszcze zwoje drutów. Dobrze słychać było ich gardłowe rozmowy, rąbanie drzewa, brząkanie menażek itp. Na moim odcinku mieliśmy szczególnie upartego szwaba – strzelca wyborowego, który nas bardzo denerwował. Na stanowisku rusznicy pierwszej, tuż przy bunkrze mojego plutonu, zginęło już dwóch żołnierzy z naszego batalionu, którzy próbowali obserwować przedpole i niebezpiecznie wychylili się nad przedpiersie stanowiska. Moi żołnierze dla urozmaicenia czasu drażnili szwaba różnymi sposobami i sprawdzali jego umiejętności. Na pałatkę nakładali początkowo czapkę, a że Niemiec dziurawił ją niepotrzebnie, więc wystawiali puszki po konserwach na patyku i w te trafiał. Aż się zorientował widocznie, że robią z niego drwiny i przeniósł się gdzie indziej. Wielokrotnie wypatrywałem szwaba przez peryskop i nie mogłem go odnaleźć, tak był dobrze zamaskowany.

Wieczory mieliśmy często urozmaicone muzyką, którą Niemcy nadawali dla nas przez silne megafony. Przy tym przekonywali w języku polskim o bezcelowości naszej walki, że służymy żydo-komunie, kołchozom, Moskwie... nazywali nas głodomorami. Wmawiali, że bez ciepłego umundurowania i z powodu braku żywności nie jesteśmy w stanie dalej walczyć. Takie różne brednie. Innym razem znów nasi grali Niemcom walce Straussa i również słali apele w języku niemieckim. Nieraz rozlegał się ryk „krowy'' (niemieckiego moździerza rakietowego) i pocisk eksplodował gdzieś na naszych tyłach.

Pewnego dnia zaniepokoił mnie ostrzał z działa nieprzyjacielskiego. Pociski przelatywały dokładnie nad nami i rozrywały się we wsi. Stojąc na stanowisku, tuż przy bunkrze, obserowawałem przez peryskop skąd ten szwab strzela. Kiedy jeden z pocisków przeleciał tak nisko, że odczułem jego podmuch, i eksplodował tuż za naszym bunkrem, opuściłem peryskop i odwróciłem się do tyłu. Zrozumiałem, że celują w nasze umocnienie, którego kopuła dość wyraźnie wystawała nad linią okopów, a z rury w tylnej ścianie wychodził dym z piecyka ogrzewczego... W tym momencie poczułem silny, gorący podmuch. Towarzyszył mu błysk i huk oraz kwaśny, duszący zapach siarki. Podmuch rzucił mnie na dno stanowiska. W uszach ciągły szum aż uszy rozpiera. Usiłuję wstać. Podpieram się o ścianę okopu. Nic nie widzę. Próbuję przetrzeć oczy. Pocieram ręką po twarzy ale dotyku nie czuję. Łzawię, bo oczy mam zasypane piaskiem i sadzą. Już trochę widzę. Na ręce mam krew i twarz mnie strasznie piecze. Ktoś krzyczy – panie chorąży, panie chorąży... jest pan ranny!

Kiedy dochodzę do siebie widzę, że kopuły naszgo bunkra nie ma. Stojący na stanowisku po prawej CKM – posiekany na wylot odłamkami. Ktoś podniósł moją czapkę i ogląda – dwie dziury obok orzełka. – Miał pan szczęście panie chorąży, bo gdyby tak centrymetr niżej... to głowa na wylot... – Cała twarz naszpikowana piaskiem i kamykami. Tylko w czole tkwią dwie blaszki wbite w czaszkę. Od miejsca wybuchu dzieliły mnie niecałe 3 metry. Żołnierze chcą mnie odprowadzić do punktu sanitarnego przy batalionie. Odmawiam. Przecież trzymam się na nogach. I tylko w bunkrze obywam sobie lekko twarz. Wyglądam okropnie.

Przez kilka miesięcy wydłubywałem sobie z twarzy i czoła różne świństwa, którymi byłem naszpikowany. Ale najwięcej strachu przeżyli ci co byli w bunkrze. Mimo trzech rzędów belek i grubej warstwy ziemi całe umocnienie zatrzęsło się. Światło kopciółki olejowej zgasło, a wszystkim za kołnierze nasypało się porządnie ziemi. Śpiący na pryczy kapral Golik spadł i skaleczył się o wiadro. a mnie przez kilka tygodni biły dzwony w uszach.

W tej relacji podałem wydarzenia, jakie zarejestrowała moja pamięć w czasie krótkiego okresu, w którym stawiałem pierwsze kroki jako młody, osiemnastoletni chorąży i dowódca plutonu...

Wspomnienia zebrał
Andrzej Matusz
uczeń LO
Głubczyce

CHŁOPSKI TRYBUN Z WIERZCHOSŁAWIC

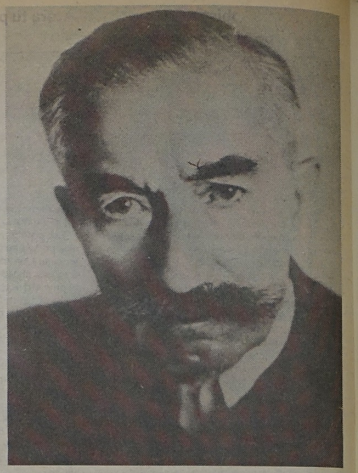

Na zdjęciach z ostatniego okresu życia uderza smutek, zmęczenie, może nawet gorycz poniesionych porażek

„Był politykiem, który swą chłopskość zawsze podkreślał. W mowie, w sposobie bycia, w geście i w stroju. Miało to w owych latach jednoznaczną wymowę. Czym innym było bowiem wyjść z warstwy chłopskiej, a czym innym wyrosnąć z niej i chłopem pozostać."

Andrzej Zakrzewski – Wincenty Witos. Chłopski polityk i mąż stanu.

Nie wdając się w głębszą ocenę dokonań politycznych Witosa, który – zwłaszcza gdy stanął na czele rządu Chjeno-Piasta – zaczął tracić popularność, przyznać należy, że jego życiowa kariera jest bardzo ciekawa, może nawet niezwykła. Kiedy o tym myślę, siłą rzeczy przypominają mi się losy fikcyjnego bohatera książki Dołęgi-Mostowicza „Kariera Nikodema Dyzmy". Ale przecież poza tym, że obaj dochodzą do podobnie wysokich stanowisk, nie mają ze sobą prawie nic wspólnego. Pochodzą co prawda z tzw. dołów społecznych, tyle że „rdzeń" rodziny Witosa jest zdrowy, a Dyzma to lump w każdym calu. Przywódca „Piasta", z całą konsekwencją człowieka bardzo pracowitego i zdolnego, dąży do wyznaczonych sobie celów, osiągając je stopniowo. Kariera Nikodema jest zawrotna, co bliższe jest książkowej fikcji niż życiowej prawdzie.

Początek drogi

Żeby jednak uzmysłowić sobie skalę życiowych dokonań Witosa, trzeba koniecznie zobaczyć Wierzchosławice, wieś nie przypominającą niczym tamtej z początków naszego stulecia, kiedy młody, zdolny i niezwykle pracowity samouk wkraczał na arenę polityczną Galicji, a później Polski. Wierzchosławice epoki galicyjskiej to uboga wioska spod słomianej strzechy, w której chłopi budowali jednoizbowe chałupy, żeby w drugiej izbie, zaraz za ścianą, pomieścić oborę. W takiej chacie, na przysiółku Dwudniaki, którego nazwa wzięła się od dwóch dni odrabianych przez chłopów w czasach pańszczyzny, urodził się Witos. Dom późniejszego przywódcy PSL „Piast" został niedawno tak przebudowany, że przypomina ten sprzed wieku i stanowi prawdziwy skansen na tle Wierzchosławic murowanych, miejscami brzydkich, ale przecież nowoczesnych i bogatych.

Do dziś Witos funkcjonuje nie tylko w wyobraźni, ale również w pamięci najstarszych mieszkańców Wierzchosławic. *„Od piątego roku życia pasałem jedyną ojcowską krowę, włócząc ją po rowach i miedzach na powrozie, aby więcej dawała mleka, będącego jedyną omastą w naszym aż nadto skromnym gospodarstwie"* – napisze później w „Moich wspomnieniach".

A najstarszy dziś mieszkaniec wsi Witosowej – Antoni Solak tak rozpocznie wspomnienia o swoim byłym sąsiedzie: *„Kiedy zacząłsamodzielnie patrzeć na świat, zrozumiałże jest Polakiem"*. Teraz fakt ten ujdzie zapewne naszej uwagi, bo jego wymowa zdaje się być oczywista. Ale wówczas, ponad trzydzieści lat po uwłaszczeniu, na wsi galicyjskiej, zwłaszcza w okolicach Tarnowa, żywa była pamięć Szeli i rzezi, jakiej na szlachcie wyrusz ającej na odsiecz powstańcom krakowskim dokonali chłopi. Polska musiała kojarzyć się chłopom z pańszczyzną, skoro tak łatwo udało się władzom austriackim podburzyć ich przeciwko powstańcom.

– *Witos był ode mnie 23 lata starszy* – oblicza Antoni Solak. – *Poznałem go, gdy był już wójtem w Wierzchosławicach. Często odwiedzał ojca i innych sąsiadów. Dawał wskazówki jak mają ‚gospodarować. Starał się objaśniać im, że są Polakami. Zabierał chłopów na przedstawienie o treści patriotycznej do Tarnowa, czasami nawet do Krakowa. Sam dużo czytał i chciał, żeby inni też czytali. Za jego przykładem chłopi zaczęli prenumerować prasę, na początku „Przyjaciela Ludu".*

Najwidoczniej ówczesny wójt wierzchosławicki zrobił dużo dobrego dla wsi, skoro najstarsi mieszkańcy jeszcze dziś potrafią bez trudu wyliczyć jego zasługi. Uporządkował drogi, odwodnił podmokłe tereny, nauczył chłopów siać nowozy sztuczne. Założył Kółko Rolnicze i za jego pośrednictwem sprowadzał zarodowe *Wierzchosławic żeby pracować w polu, zwykle przed podjęciem ważnych życiowych decyzji.*

Gdy wyruszał na dłuższy czas do Warszawy, albo w latach 1933-1939, kiedy, nie godząc się z wyrokiem w procesie brzeskim, przebywał w Czechosłowacji, żona prowadziła gospodarstwo. *„Witoska była postawna i charakterna – umiała dawać sobie radę w gospodarstwie"* – powie o niej krótko gospodarza, na uwagę zasługuje prawdziwa kolekcja fotografii. Witos lubił się fotografować, ale też w niego wycelowane były obiektywy reporterów, i to nie tylko wtedy, gdy był u szczytu powodzenia, lecz również wówczas, kiedy rozgrywał się jego życiowy dramat. Mam na myśli proces brzeski i pobyt Witosa w Czechosłowacji. Podobno chłopi nie mówili o tym nielegalnym wyjeździe „ucieczka", ale – co

Muzeum Wincentego Witosa w Wierzchosławicach mieści się w dawnym jego domu i zabudowaniach gospodarczych

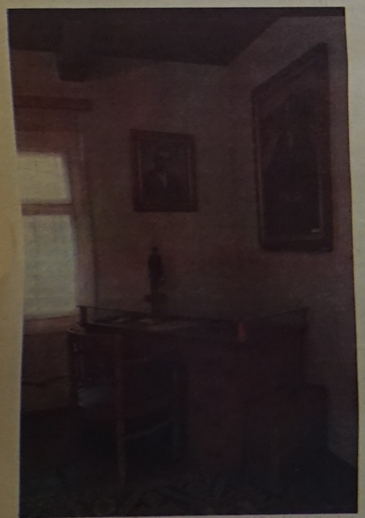

Gabinet Witosa z oryginalnym wyposażeniem

bydło i drzewka owocowe, które chłopi zaczęli sadzić wokół domu, zamiast wierzb i topoli. Wystawił młyn gospodarczy, betoniarnię do produkcji dachówki, wreszcie – przy czynnej pomocy wierzchosławickich gospodarzy – wybudował Dom Ludowy, do którego sprowadziło się Kółko Rolnicze, organizacja chłopska i młodzieżowa i kasa pożyczkowa...

Z Katarzyną na dobre i złe

W 1905 roku, na parceli wykupionej od amerykańskiego emigranta, wybudował Witos dom i gospodarstwo. Żona – Katarzyna, na wsi nazywwana po protu Witoską, wniosła w posagu kilka mórg ziemi. w ten sposób stał się chłopem średniorolnym. Gospodarzem był wzorowym, co podkreślają sąsiedzi w Wierzchosławicach.

– *Miał świetną pamięć i niespotykaną siłę* – dorzuca mój rozmówca. – *Nie nosił w zimie rękawic, był silny, zdrowy, odporny na różne przeciwności – nie przeszkadzało mu w pracy to, że nie przespał nocy. Znalazł czas i na politykę (często jeździł na wiece), i na pracę w polu. Później, kiedy zajmował wysokie stanowiska przyjeżdżał do* Antoni Solak. Katarzyna nie opuszczała Wierzchosławic i – w przeciwieństwie do wielu innych premierowych – korzyści z sukcesów i sławy męża nie czerpała.

Wincentego i Katarzynę zapraszali wierzchosławiccy gospodarze na rodzinne uroczystości – wesela i chrzciny. Witos, kiedy proszono go w kumy lub na wesele, nigdy nie odmiawiał. Ale szanując bardzo swój czas szybko urywał się z towarzystwa. Mówiono o nim we wsi, że był skąpy, bo w przeciwieństwie do innych zaproszonych gości nie dawał prezentów. Może było to następstwo biedy zaznanej w dzieciństwie?

Jak rodziła się legenda

Niewiele jest takich miejscowości w kraju, których nazwa kojarzyłaby się z nazwiskiem, tak jak Wierzchosławice z Witosem. Ale też mieszkał tu praktycznie przez całe życie i chyba właśnie w Wierzchosławicach zrodziła się legenda „chłopa-premiera" prześladowanego przez „szlachcica-marszałka".

W Muzeum Wincentego Witosa w Wierzchosławicach, obok oryginalnych zabudowań, kilku portretów i kompletu mebli z dawnego gabinetu zresztą było bliższe prawdy – „wygnanie"

Zdjęcia układają się w pewien ciąg chronologiczny. Gdzieś na początku drogi jest fotografia niskiej chałupy pokrytej strzechą. To dom rodzinny. Jest zdjęcie młodej i ładnej Katarzyny, zupełnie nie podobnej do Witoski z innej fotografii, na której widzimy ją razem z mężem. Jest wczesna wiosna 1939 roku – oboje więc ciepło ubrani. Ona w krótkim kożuszku i – jak przystało na chłopkę – w chustce na głowie, – on – w modnej pelisie i kapeluszu. Uderza zmęczenie na twarzach obojga i smutek. Zmierzch życia, gorycz poniesionych porażek, chwilowa melancholia? Jeszcze bardziej przejmujące jest zdjęcie Witosa zrobione przypuszczalnie 3 kwietnia 1939 roku, to jest w dniu, gdy po powrocie z Czechosłowacji zgłosił się do prokuratury w Krakowie. Zmęczony, oparty na lasce, zapatrzony w niejasną przyszłość. Wprawdzie wykonanie wyroku brzeskiego (1,5 roku więzienia) zawieszono, ale wojna z Niemcami wisiała na włosku.

Myślę, że takie zdjęcie jak to z Krakowa, mogłoby dziś trafić na łamy światowych gazet. Wówczas przyczyniło się pewnie do wzrostu autorytetu Witosa, utrwaliło jego legendę. Widzimy go również, urodzonego oratora, na licznych wiecach. Na przykład w 1925 roku w Wierzchosławicach, gdzie obecny był Władysław Reymont, któremu chłopi składali w ten sposób hołd. Albo osiem lat później, gdy małopolskie Stronnictwo Ludowe zorganizowało w rodzinnej wsi Witosa manifestację z okazji ćwierćwiecza jego działalności parlamentarnej. Faktycznie było to poparcie dla jego polityki, opozycyjnej w stosunku do rządów sanacji. Na zdjęciu widać tłumy

Prezes Witos przy orce (ten z lewej w kapeluszu)

Fot. R.K. Sędzikowski

wiwatujących, entuzjazm zgromadzonych, las sztandarów. Witos urastał do rangi chłopskiego bohatera.

Zaduszki Witosowe

Pochowany został, zgodnie z wolą wyrażoną w testamencie, na cmentarzu w Wierzchosławicach. Od lat, zawsze w pierwszą niedzielę po Wszystkich Świętych, odbywają się tu Witosowe Zaduszki. Zjeżdżają przyjaciele i znajomi Witosa, a także działacze ruchu ludowego, którzy bezpośrednio go nie znali, ale pragną w ten sposób uczcić pamięć chłopskiego przywódcy. Składają kwiaty na grobie, a później zbierają się w budynku Towarzystwa Przyjaciół Muzeum Wincentego Witosa, żeby snuć o nim wspomnienia, albo – jak w ubiegłym roku – przypomnieć mniej znanych współpracowników trybuna z Wierzchosławic.

Powstałe w 1973 roku towarzystwo ma na swym koncie wiele inicjatyw upamiętniających postać Witosa – wykupienie i rekonstrukcję domu, w którym się urodził, wybudowanie popiersia w Wierzchosławicach. Trwa również zbiórka na pomnik w Tarnowie. Podobny zamysł powstał i realizowany jest w Warszawie. Z odpowiedzią na pytanie, który Witos na cokole zyska sobie większą sympatię mieszkańców – warszawski czy tarnowski – przyjdzie chyba jeszcze trochę poczekać.

TOMASZ ŁAWECKI

Fot. **K. Adamowski**

Czwórka hobbistów-zapaleńców, którą tu przedstawiamy, figuruje w słynnej „Księdze rekordów" Guinnessa. No, bo jakże mogłoby być inaczej, gdy ktoś zbudował rower długości 10 cm, na którym można jeździć, albo organy elektronowe, które w czasie koncertu trzyma się na... paznokciu? Przejdźmy zatem do szczegółów.

„Złote rączki" i precyzja, cierpliwość i pasja

NAJMNIEJSI WŚRÓD LILIPUTÓW

Kiedy klown Raino Fischerknecht wjeżdża na arenę na swoim mini-rowerze, zrywa się burza oklasków. Jego występy są zawsze żywo przyjmowane przez publiczność. Kiedy zaś po występie, już w garderobie, zetrze z twarzy szminkę, zdejmie perukę i schowa do szafy kostium, staje się znów zwykłym mechanikiem – pracownikiem jednego ze szwajcarskich zakładów produkujących półprzewodniki. Rozśmieszanie ludzi – to jego pozazawodowe hobby. A jeszcze jednym jest budowanie miniaturowych rowerów.

Jego najmniejszy rower, a jednocześnie – jak stwierdza Guinness – najmniejszy rower świata, ma koła jakby wymontowane z dziecięcych wrotek; ich opony zrobił konstruktor ze specjalnego plastiku. Kierownica znajduje się na wysokości 15 cm od ziemi. Cała konstrukcja rowerku zrobiona jest z mocnej stali o wytrzymałości 60 kg na centymetr kwadratowy. Osiem miesięcy poświęcił Fischerknecht na budowę i opanowanie jazdy na swoim „lilipucie". Jedno i drugie łączyło się nierozerwalnie, bo ciągle trzeba było coś ulepszać, przekonstruowywać. Ale oto uparty konstruktor przygotowuje już „drugą generację" swoich mini-rowerów: tandem, czyli rower dwuosobowy, na którym będzie występował wraz ze swoim 14-letnim synem. Na tandemie będzie się jechało... na siedząco, a jego koła będą miały po 10 cm średnicy. Nikogo nie trzeba przekonywać, że do wykonania takiej konstrukcji potrzebna jest przysłowiowa szwajcarska, zegarmistrzowska precyzja.

Uporu i zręczności trudno też odmówić innemu „rekordziście" – Rolfowi Zetzmannowi ze Stuttgartu (RFN), który będąc z zawodu dekoratorem wystaw sklepowych – zbudował miniaturowe skrzypce długości 11,9 cm. Maleńkim smyczkiem wydobywa się ze skrzypiec miłe dla ucha tony. Ten liliput jest wierną kopią dużych skrzypiec. Struny są z końskiego włosia, jak w dawnych skrzypcach cygańskich używanych na Bałkanach , całość pociągana szelakiem. Zetzmann sam też skonstruował specjalne narzędzia umożliwiające mu pracę. Do wykonania niektórych części skrzypiec konstruktor musiał użyć – oprócz drewna jodłowego także drewna hebanowego. Właśnie z jego zdobyciem miał największe trudności, bo nigdzie nie mógł go kupić. Znalazł wreszcie kawałek – zupełnie przypadkowo – w skrzynce z rupieciami u znajomego. W niektórych miejscach skrzypce wzmacniane są stalowymi sztyftami (np. przy naciągach), gdyż napięcie spowodowane przez struny mogłoby je po prostu złamać. Nad swoim dziełem pracował Zetzmann w sumie 60 godzin, oczywiście – z przerwami.

Natomiast już tylko z pomocą lupy można dokładnie obejrzeć inny instrument– elektroniczne mini-organy, które skonstruował i własnoręcznie zbudował Stefan Albrecht – 13-letni uczeń z Oberhausen (RFN). Jest to kostka: 17 mm długości, 9 mm szerokości i tyleż wysokości. Wewnątrz Stefan umieścił aż 12 części elektronicznych, jest tam też mikroskopijna bateria i miniaturowy głośniczek, a także... „klawisze". Są one nieruchome, ale dotykając ich drucikiem zamykającym obwód otrzymuje się tony różnej wysokości. Tonów jest jedenaście, co pozwala na wygrywanie prostych melodii. „Zbudowałem wszystko – twierdzi Stefan – z oryginalnych części. Niektóre tylko przystosowałem nieco do swoich potrzeb". Pogratulować!

„Liliputa" z zupełnie innej dziedziny skonstruował 57-letni specjalista od reklamy z Güntersloh: miniaturowy aparat fotograficzny w pierścieniu. Obsługiwać go jednak może i potrafi tylko sam wynalazca. Aparat ma wymiary 13×14×15 milimetrów Wygląda tak, jakby zamiast szlachetnego kamienia umieszczono w pierścieniu kawałek wylotu rowerowego wentyla. Urządzenie funkcjonuje jak stare aparaty fotograficzne. Jako migawka służy przykrywka na obiektyw, którym jest maleńka soczewka. Przysłona jest stała: kawałek plastikowej folii z dziurką jakby po przekłuciu szpilką. W zupełnej ciemności Kunze wycina z filmu o czułości 14 DIN kwadracik 10×10 mm. Wkłada go do „kamery" i dokładnie zasłania przykrywką. Ale prawidłowe naświetlenie jest zawsze kwestią przypadku; Kunzemu udaje się jedno zdjęcie na cztery. Bo przecież trzeba kamerę trzymać nieruchomo, zdjąć płynnie a potem założyć przykrywkę. Potem jeszcze wywołać kliszę, skopiować. A jednak kamera działa i jest najmniejszym tego rodzaju urządzeniem na świecie! Na razie – bo może za rok pojawią się inni rekordziści?

A może ktoś z naszych Czytelników ma też osiągnięcia w dziedzinie konstruowania „miniaturek". Czekamy na sygnały – piszcie! (sj)

Fot. **„Hobby"**

Paganinim to on może nie jest, ale spróbuj zbudować takie skrzypce!

Na takim „gigantycznym" rowerze wjeżdża na arenę klown-mechanik Raino Fischerknecht. Brawo!

◀ Organy wielkości paznokcia! Czego ci młodzi ludzie nie wymyślą?!

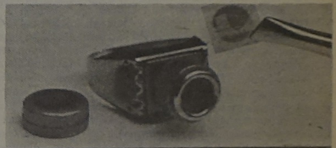

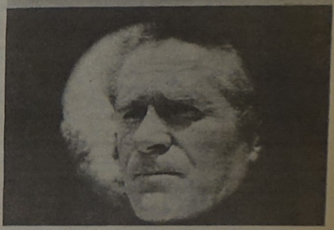

Kurt Kunze zrobił sobie portret, używając miniaturowej kamery własnej konstrukcji

Ogólnoświatowa moda na bieganie

Recepta na wszystko

Grecki żołnierz Filippides, który po bitwie Greków z Persami pod Maratonem podążył biegiem do Aten, by oznajmić o wiktorii, pokonał dystans 40 kilometrów i padł martwy. Owo wydarzenie sprzed naszej ery przeszło nie tylko na trwałe do historii, ale dało asumpt do stworzenia konkurencji sportowej, rozegranej po raz pierwszy na igrzyskach olimpijskich – 1896 w Atenach, a dziś przeżywającej niesłychany wręcz rozkwit.

Według opinii lekarzy i fachowców bieganie jest nie tylko najprostszym, ale najlepszym sposobem podtrzymania kondycji, sprawności, lekarstwem na stresy.

Red. **JANUSZ KALINOWSKI** jest nie tylko czynnym maratończykiem, byłym mistrzem świata dziennikarzy, ale także jednym z głównych organizatorów „Maratonu Pokoju", działaczem Komisji Biegów Przełajowych i Ulicznych Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Przedstawiciel „Świata Młodych" rozmawia z nim o polskich i zagranicznych maratonach i o tym co z biegania wynika na co dzień.

– Dotychczas maratony kojarzyły nam się niemal wyłącznie z igrzyskami olimpijskimi i nazwiskami złotych medalistów – Emila Zatopka, Alaina Mimouna, Mamo Wolde, Franka Shortera, Waldemara Cierpińskiego czy najsłynniejszego z nich Etiopczyka Bikili Abeby. Obecnie słyszy się coraz częściej o masowych biegach na tym dystansie, a imponują nie tyle wyniki, co liczba uczestników tych imprez. Skąd ta zmiana?

– Bieganie stało się ogólnoświatową modą, tak jak gra w piłkę. Nie wymaga ono, w przeciwieństwie do innych sportów, ani specjalnych urządzeń, ani sprzętu, ani nawet partnerów. Wystarczy włożyć trampki, dres i wyjść z domu. Biegać można wszędzie, nawet w centrum wielkich miast. Będąc w Nowym Jorku widziałem ludzi biegnących po ulicach Manhattanu, wokół stupiętrowych wieżowców, na skwerach i placach. W Londynie sam biegałem w gronie znajomych pod Pałacem Królewskim, Parlamentem, na Trafalgar Square i nie wzbudzałem najmniejszej sensacji, a nawet zainteresowania. Tam jest to zjawisko zupełnie normalne. U nas jeszcze czasem na widok truchtającego ulicą człowieka, ten czy ów puka się w czoło. Ale to minie...

– Skąd przyszła ta moda, kto był prekursorem masowego biegania?

– W Szwecji bardzo popularne są od dawna tzw. biegi na orientację, a także biegi narciarskie, np. o Puchar Wazów. Ktoś kiedyś zorganizował tam normalny, masowy bieg długodystansowy i tak się zaczęło. za przykładem poszli Anglicy, Amerykanie i mieszkańcy innych krajów. W tym roku w Anglii odbędzie się 110 biegów maratońskiech oraz kilka tysięcy na krótszych dystansach. Podobnie w USA.

– A w Polsce?

– Liczba tego typu imprez rośnie z roku na rok, a w tym sezonie będzie rekordowa. Maratony Sobótka – Wrocław, Hel – Puck, Chełmno – Toruń, Spychowo – Szczytno, „Maraton Pokoju" czy supermaraton „Calisia" na 100 km to tylko przykłady tych najdłuższych i najbardziej znanych biegów. Niemal każde województwo ma podobną imprezę na dystansach od 10 do 42 km.

– Startował Pan w tegorocznym „Maratonie Pokoju". Jakie wrażenia?

– Niezapomniane. Wprawdzie wiał silny wiatr, było zimno i deszczowo, ale atmosfera rozgrzewała wszystkich. Tylko niewielu ponad 100 biegaczy nie ukończyło dystansu, reszta – około 2 tysięcy – osiągnęła cel. A wśród nich Helena Opiłowska z Gdyni. Zajęła wprawdzie dopiero 1938 miejsce i była na trasie ponad 7 godzin, ale jak na 74 lata, które skończyła – to wyczyn godny podziwu. Wśród kobiet najszybciej pokonała maraton 18-letnia dziewczyna, o której do tej pory nikt nie słyszał, a która osiągnęła trzeci wynik w Polsce, wśród kobiet oczywiście. Podziwiałem upór i zapał Mariana Skuratowicza, niewidomego biegacza ze Świnoujścia, który po 4 godzinach i 20 minutach dotarł w świetnej kondycji do mety. Impreza, której współtwórcą był nieżyjący już redaktor Tomasz Hopfer, na stałe weszła do kalendarza.

– Startował pan w podobnych maratonach w Nowym Jorku i Londynie. Czym różnią się tamte od warszawskiego?

– Przede wszystkim liczbą uczestników. Do londyńskiej próby zgłosiło się ponad 100 tysięcy chętnych, ale ze względów technicznych organizatorzy dopuścili do startu „tylko" 18 tysięcy. Na trasie zobaczyć można było osoby niepełnosprawne, poruszające się na wózkach, niewidomych, a także kucharza biegnącego z patelnią, kelnera z napojami trzymanymi na tacy, a także czterech sanitariuszy z noszami, którzy w ten sposób demonstrowali przeciwko wojnie. Jak widać, imprezy te to nie tylko sport, także zabawa, a czasem i polityka.

– Czy maratony to odpowiedni sport dla młodzieży? Zdania – jak wiem – są podzielone?

– W pierwszym „Maratonie Pokoju" dopuściliśmy do startu wszystkich chętnych. Z rodzicami biegły dzieci, nawet przedszkolaki. Oczywiście nie przez cały dystans, ale mimo to postanowiliśmy wprowadzić pewne ograniczenia. Na 100 km mogą obecnie startować tylko osoby pełnoletnie , na 42 km, czyli w klasycznym maratonie – powyżej lat 16, na 10, 20, 30 km młodzież, która skończyła lat 14, zaś bez ograniczeń na 10 km. Udział w maratonie czy biegu długodystansowym jest znacznym wysiłkiem i niedobrze, jeśli ktoś porywa się na tę próbę bez żadnych przygotowań.

– I jeszcze jedno. Skąd się wziął ten dystans 42 km 195 m w maratonie?

– Na pierwszych igrzyskach nowożytnych w Atenach maratończycy mieli do pokonania 40 km 200 m, bo tyle podobno przebiegł grecki żołnierz z Maratonu do Aten. Na olimpiadzie w Londynie (1908) start do biegu maratońskiego wyznaczono nie opodal zamku windsorskiego, a metę na stadionie olimpijskim. Księżna Walii, która była honorowym starterem, poprosiła, by linię startową przenieść na dziedziniec pałacu, tak aby jej syn, mały książę, mógł z okna obejrzeć owo wydarzenie. I tak się stało, a kiedy potem zmierzono dokładnie dystans, jaki pokonał złoty medalista John Hayes i inni maratończycy, to okazało się, że wynosi on dokładnie 26 mil i 385 yardów, czyli 42 kilometry i 195 metrów. Odtąd ta właśnie odległość obowiązuje we wszystkich klasycznych maratonach.

– Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał:
TOMASZ TRZCIŃSKI
Fot. J. Jaruga

INNOKIENTIJ SMOKTUNOWSKI – artysta nowoczesny

Ten jeden z najwybitniejszych aktorów radzieckich należy do ludzi, którzy nie lubią oglądać się wstecz, nie lubią wywiadów i analiz kreacji, które są już poza nim. Dla niego liczy się jedynie teraźniejszość, role, które właśnie są i te, które jeszcze będą.

Ma już lat 58, ale w ruchu i sposobie bycia sprawia wrażenie człowieka dużo młodszego. Patrząc na niego, aż trudno uwierzyć, że ma za sobą wojenne dzieciństwo i długą, ciężką drogę do zawodu. A zaczynał ją od ruchu amatorskiego. Mówi o sobie: *Aktorem zacząłem czuć się dopiero wtedy, kiedy trafiłem do Towstongowa.* Był to już 15 rok jego pracy na scenie.

Stał się sławny w roku 1958. Zawdzięcza to roli księcia Myszkina w inscenizacji powieści Dostojewskiego „Idiota", która jemu samemu również wydaje się najważniejsza. Ale po niej było jeszcze wiele innych ról i było też coś przed nią, mianowicie filmowy Faber w „Okopach Stalingradu". Stanowił on zapowiedź aktorskich możliwości Smoktunowskiego. Inteligent, matematyk, który w czasie wojny został oficerem, posiadał w jego interpretacji iście myszkinowskie cechy: dziecięcość, skromność, a przy tym wielki hart ducha i szlachetność. Następną ważną rolą filmową był Kulikow z „Dziewięciu dni jednego roku". Był przeciwieństwem Fabera. Jego utalentowany, a przy tym czarujący uczony był pewny siebie, błyskotliwy, wygadany. Mimo to wyczuwało się w nim równie wyraźnie jak we wcześniejszych kreacjach, subtelną konstrukcję psychiczną.

Smoktunowski ma za sobą również „największą z ról" – rolę Hamleta. Jego Hamlet jest dobry, naturalny, ciepły. Dlatego właśnie stanowi niezwykłe zjawisko w zakłamanym świecie, który go otacza.

Równie ciekawe i nie mniej skomplikowane psychologicznie są role komediowe wielkiego aktora. Pierwszą z nich był urzędnik Dietonkin w filmie „Złodziej samochodów". W amatorskim kółku dramatycznym grał rolę Hamleta i nikt nie podejrzewał, że ten skromny, a nawet nieudolny na scenie człowiek uznał sam siebie za ramię sprawiedliwości. Że sam stał się przestępcą, by innym przestępcom wymierzać karę.

W filmie i w teatrze Smoktunowski zagrał wiele ważnych, dużych ról. Nie przeszkodziło mu to jednak w graniu ról małych, wręcz epizodycznych i wszystkie one w jego wykonaniu okazały się takie, że śmiało można by te miniaturowe popisy pokazywać na zajęciach w szkole aktorskiej. W „Romancy o zakochanych" gra trębacza i trzeba powiedzieć, że bez tej drobnej roli film straciłby wiele. Znakomity jest także w bajkach np. jako stary król w „Księżniczce na grochu". W ogóle chętnie gryw a w filmach dla dzieci, bo uważa, że dają one możliwość swobodnego konstruowania postaci charakterystycznych. Ostatni film, w jakim oglądaliśmy Smoktunowskiego na naszych ekranach, to „Moskwa nie wierzy łzom" – zagrał w nim samego siebie.

Innokientij Smoktunowski – Ludowy Artysta ZSRR, laureat Nagrody Państwowej RFSRR im. Braci Wasiljewów i Nagrody Leninowskiej, to człowiek, w którego postaci żyją dziesiątki charakterów. Każde zadanie aktorskie skłania go do improwizacji i poszukiwań. Ten zapał, wyjątkowy talent, wrażliwość i znakomite opanowanie scenicznego i filmowego warsztatu – czyni z niego artystę w najlepszym sensie tego słowa – nowoczesnego. **(eb)**

Fot. **Sowietskij Film**

GWIAZDOZBIÓR

SKRZYNKA KONTAKTOWA

● **Agnieszka Fraiss, Kołłątaja 33/5, 24-100 Puławy, woj. lubelskie** – lat 12. Zbiera wiadomości o Piotrze Fronczewskim i Peterze Sellersie. Proponuje wymianę fotosów.

● **Artur Węgiel, Oś. Jasne 1d/9, 58-200 Dzierżoniów.** Jest wielbicielem Brigitte Bardot, Marilyn Monroe, Aniołków, Grety Garbo i Liz Taylor. Za ich zdjęcia proponuje zdjęcia Bruce'a Lee i polskich zespołów rockowych. Chce też korespondować z osobami, których pasją jest film.

● **Paulina Braiter, ul. Kasztelańska 66/3, 58-314 Wałbrzych** – jest wielbicielką filmów sensacyjnych, przygodowych, westernów. Poszukuje zdjęć Gregory Pecka i Harrisona Forda– oczywiście proponuje wymianę.

DOM MODY świata młodych

O włosy trzeba dbać

Może się powtarzam (o włosach ostatnio dwa razy pisałam – w nr. 106 z dnia 6 września br. i w nr. 112 z dnia 20 września br.), ale uważam, że sprawa jest wagi ogromnej. Na ladnym, tzw. zadbanym wyglądzie, każdej dziewczynie przecież zależy, a nie od dziś wszak wiadomo, że właśnie włosy są tego wyglądu wizytówką. Więc powinny być ładne. A ładne, to oznacza nie tylko jakąś szałową i supermodną fryzurę, ale stopień zadbania samych włosów. Wiadomo zresztą, że jak włosy są byle jakie, to żadna szałowa fryzura z nich nie wychodzi.

Wiem, wiele z Was ma ogromne kłopoty z włosami nadmiernie się przetłuszczającymi (niestety, taki to już głupi wiek, te naście lat, że połowa dziewcząt takich problemów doświadcza), ale i im można co nieco pomóc (chociaż, niestety, nie radykalnie), a poza tym druga połowa dziewcząt takich kłopotów nie ma, a ich włosy nie zawsze wyglądają najpiękniej. Więc jak się chce ładnie wyglądać, to o włosach trzeba pomyśleć. Zwłaszcza, że pora roku nadchodzi dla nich nie najszczęśliwsza. Będą miały mało powietrza, przytłamszać je będzie różnymi nakryciami głowy (co nie znaczy, że namawiam do chodzenia z gołą głową – nic podobnego), różnych naturalnych witamin organizm wasz będzie pozbawiony, co włosom bynajmniej na zdrowie nie wychodzi.

Co trzeba robić?

Po pierwsze – zastosować odpowiednią ich długość. Długie włosy są modne, ale jak ktoś ma słabe, rzadkie, albo wypadające, nadmiernie się przetłuszczające, to – im będą krótsze, tym dla nich zdrowiej.

Po drugie – nie zwlekać z ich myciem do cieplejszej pory roku. Nawet włosy, które zupełnie są tłuszczu pozbawione, też trzeba myć co jakieś 7-10 dni, nie mówiąc o tych, które na trzeci dzień wyglądają jakby od miesiący myte nie były. Do mycia trzeba używać odpowiedniego szamponu (jak się myje włosy tłuste szamponem przeznaczonym dla suchych lub na odwrót, to lepiej by już chyba było nie myć wcale), niezbyt gorącej wody. Gdy się myje włosy częściej niż co 4 dni, wystarczy raz tylko namydlić je i spłukać. Do płukania dobrze jest używać naparów ziołowych (gotowa mieszanka „Kapilosan", albo nieszanka własna – garść rumianku, garść mięty, troszkę kłącza tataraku. Rumianek rozjaśnia, tatarak – przyciemnia). Rozumiem, że ciągłe parzenie ziół do mycia głowy jest kłopotliwe, ale raz na jakieś 2-3 tygodnie dobrze jest swoim włosom taką kąpiel zafundować.

Nie należy suszyć włosów w zbyt wysokiej temperaturze. A więc – suszarka nie za blisko głowy. Bo w ogóle przegrzewanie nie robi im zbyt dobrze. A więc – wszelkie czapki itp. nosimy wyłącznie na dworze, nie ma nic gorszego dla włosów niż przesiadywanie w ciepłej czapie w ciepłym pomieszczeniu. Trzeba wtedy czapkę zdjąć.

Po trzecie zaś – trzeba koniecznie dostarczać organizmowi swemu (a więc i włosom) odpowiednią dawkę naturalnych składników mineralnych czyli – surówki, surówki i jeszcze raz surówki. Nie tylko na włosy dobrze działają, również na cerę, na paznokcie, w ogóle – na wszystko, na samopoczucie też. Trzeba jeść kiszoną kapustę, surową marchew, cebulę, jabłka... I to nie od przypadku do przypadku, ale systematycznie, codziennie, i nie w aptekarskich ilościach. I trzeba także pić mleko. Co najmniej pół litra dziennie. Bez mleka i surówek nie ma mowy o pięknych włosach – żaden fryzjer ani gabinet piękności nie pomoże.

RIUSZKA

Kartki z dawnych lat

OFIARA UMIEJĘTNOŚCI PISANIA

Jak zapewne wszyscy wiemy, istnieje dawny, dziś jeszcze gdzieniegdzie zachowany zwyczaj, polegający na pisaniu w dniu Trzech Króli poświęconą kredą na drzwiach mieszkań znaków, będących początkowymi literami imion trzech legendarnych monarchów – Kacpra, Melchiora i Baltazara.

W przeszłości, kiedy analfabetyzm stanowił zjawisko dość powszechne, bywało nieraz tak, że jeżeli w pobliżu mieszkała osoba posiadająca sztukę pisania, zapraszano ją do domu i suto goszczono, aby owe litery możliwie najładniej napisała, oddzielając je od siebie znakami krzyża.

Niekiedy jednak ta gościna, na ogół nieźle zakrapiana alkoholem, pociągała za sobą niezbyt przyjemne skutki dla tego, który posiadał znajomość pisania. Prof. dr Bohdan Baranowski w swej interesującej książce pt. „Życie codzienne wsi między Wartą a Pilicą w XIX wieku" (Warszawa 1980) podaje, że w końcu ubiegłego stulecia w Rychłocicach w Wieluńskiem młody praktykant rolny zaprzaszany był po kolei do wszystkich chałup, w celu wypisywania wspomnianych liter. Tak go szczodrze goszczono wódką i jadłem, iż w końcu zasłabł i o mało nie przypłacił życiem swych umiejętności.

HENRYK SZUBERT

Nowa choroba – „Syndrom toksycznego oleju"

HISZPANIA (PAP). Dziwna ta choroba, która przed dwoma laty pojawiła się w Hiszpanii, kosztowała życie 342 ludzi, spośród zanotowanych 20 tys. przypadków zachorowań. Jest ona w dalszym ciągu przez lekarzy i naukowców z dziedziny medycyny traktowana jako „syndrom toksycznego oleju" z zupełnym brakiem rozeznania co do przyczyn i istoty choroby.

Członkowie zespołu roboczego (powołanego przez Światową Organizację Zdrowia dla zbadania „syndromu toksycznego oleju") obradujący w Madrycie w dniach 21-25 marca br. w podsumowującym raporcie podkreślili, że istniejące przypadki zachorowań wskazują iż „nie jest to choroba infekcyjna, ale związana z pewnym artykułem spożywczym w diecie ludzi, którzy na nią zapadli, konkretnie z tym rodzajem oleju z rzepaku, sprzedawanym przez ulicznych sprzedawców w centralnych prowincjach Hiszpanii na początku 1981 r."

„Syndrom toksycznego oleju" – nie znana nigdy przedtem lekarzom choroba – w ostrej fazie charakteryzuje się gorączką i „rozrywającymi" zołądek kurczami. Sposób występowania (obejmuje całe rodziny), to jeszcze jeden dowód powiązania jej ze spożyciem oleju z nasion rzepy. **(jo)**

Na tropach neutrino

(PAP). Neutrino – tajemnicze cząstki elementarne, pozbawione ładunku elektrycznego, nie oddziałujące na materię i odznaczające się znikomą masą – interesują w ostatnich latach geofizyków i astrofizyków. Cząstki przenikające bez przeszkód 1000 km grubości warstwy skalne stwarzają możliwość badania głębin Ziemi. Strumienie neutrino przenikające przez cały glob ziemski mogą dostarczyć informacji o budowie jądra naszej planety, o zjawiskach zachodzących we wnętrzu Ziemi, o występujących naprężeniach w skorupie – co ma duże znaczenie dla badań trzęsień ziemi.

Neutrino wykryto w kosmosie, a na Ziemi ujawniono ich obecność przy rozpadzie niektórych pierwiastków promieniotwórczych. Przez wiele lat podejmowane były próby teoretyczne i praktyczne otrzymywania neutrino w laboratoriach atomowych. Stwierdzono, że w wyniku rozpadu cząstek pod wpływem przyspieszonych protonów powstają strumienie neutrino. Strumienie te można wyrzucać krótkimi porcjami. Mogą one przeniknąć przez cały ziemski glob w ciągu 0,04 sek. Tyle wystarczy, aby przekazać sygnał na drugą półkulę. Fale radiowe za pośrednictwem satelitów wędrują 6 razy dłużej. Za pomocą strumieni neutrino można mierzyć odległości – co ma duże znaczenie dla śledzenia pionowych i poziomych ruchów skorupy ziemskiej. Takie pomiary pozwoliłyby śledzić ruchy płyt tektonicznych poprzedzających trzęsienia Ziemi – co będzie miało ogromne znaczenie dla prognozowania tych zjawisk. Na razie jednak są to wszystko teoretyczne przymiarki...

(jo)

KOMETA HALLEYA

Tak ma wyglądać sonda „Giotto" (na pierwszym planie). Oczywiście jej zbliżenie do komety nie będzie tak duże jak to sugeruje w uproszczeniu rysunek.
Rys. *„Science at Vie"*

Beata Krysta pisząc o projektowanych badaniach komety Halleya kończy swą informację humorystycznie. Natomiast faktem jest – przynajmniej takie wiadomości dziś docierają z USA – że NASA nie ma funduszy na realizację ambitnego programu związanego z wysłaniem automatycznej sondy na spotkanie słynnej komety. Jak na moscrstwo kosmiczne trochę to dziwne tłumaczenie. Wydaje mi się jednak, że Amerykanie coś w tej sprawie zrobią.

Zachęcam do przeczytania wypowiedzi Arkadiusza J. Kilanowskiego, który polemizuje na temat „snów" z zamieszczonym wcześniej artykułem pt. „Cykliczność życia".

PREZES

Kometa Halleya będzie widoczna na niebie w lutym i marcu 1986 r. Opracowano już trzy projekty bezpośrednich badań komety, zachodnioeuropejski „Giotto" przewiduje wystrzelenie sondy kosmicznej z kamerami tv i aparaturą do pomiarów składu chemicznego, stopnia jonizacji, pola magnetycznego oraz temperatury gazów, z których składa się jądro. Sonda wystartuje 10 lipca 1985 roku, spotka się z kometą 7 marca 1986. Projekt– japoński („Planeta A") obejmuje wystrzelenie dwóch sond. Pierwsza zostanie wystrzelona 31 grudnia 1984 r. i będzie badać wiatr słoneczny w dużej odległości od komety. Druga – jej start zaplanowano na 14 sierpnia 1985 r. – dotrze do komety 8 marca 1986 r. Projekt radziecki („Wenus-Halley") łączy badania Wenus i komety. Sonda, wystrzelona w grudniu 1984, opuści na Wenus lądownik z aparaturą naukową, a następnie poleci na spotkanie z kometą, dotrze do niej między 6 a 12 marca 1986.

Zastanawiające jest milczenie Amerykanów. Krąży pogłoska, że zaplanowali oni kręcenie filmu „Podróż międzyplanetarna" wg opowiadania Marka Twaina. W tym celu „ściągną" oni kometę już w lutym 1986 do Hollywood. Natomiast pewne siły na Bliskim Wschodzie planują wysłanie w kosmos ekipy specjalistów, którzy wysadzą kometę i w ten sposób zlikwidują wszelkie plagi, jakie kometa Halleya zsyła na Ziemię od wieków co 76,1 lat.

Beata Krysta
ul. Kurpiowska 9 m 1
45-781 Opole 5

P.S. Informację zaczerpnęłam z „Fantastyki" 2.83.

PROMIENIE LASEROWE ODNAJDUJĄ MINERAŁY

USA (PAP). Coraz większą karierę na całym świecie robią promienie laserowe, których możliwości różnorodnego wykorzystania nie jesteśmy jeszcze w stanie ocenić. Potwierdzają to czynione obecnie próby zastosowania techniki laserowej do badania bogactw mineralnych ukrywających się pod ziemią. Pierwsze próby przy użyciu nowej metody przeprowadzane są obecnie w Kanadzie, a ich szerokie wykorzystanie zapowiadają również amerykańscy geolodzy.

Podobnego typu metodę stosowano już wcześniej, a polega ona na emisji promieniowania ultrafioletowego, którego źródłem jest urządzenie przypominające lampę kwarcową. W ten sposób odkryte zostały bogate złoża wolframu w pobliżu Salzburga, które okazały się jednymi z największych na świecie. Dużo mniejszym sukcesem zakończyły się poszukiwania w USA, gdzie zostały odkryte jedynie niewielkie złoża minerałów.

Metoda ta umożliwia zlokalizowanie tylko metali ciężkich i nie może być stosowana przy świetle dziennym, co stanowi poważne utrudnienia dla geologów.

O wiele bardziej praktyczne i obiecujące są promienie laserowe, które przy zetknięciu z niektórymi minerałami wytwarzają flouryzujące światło odbierane przez odpowiednie instrumenty nawet podczas dnia. Można w ten sposób odkryć również inne metale, które nie mają tych właściwości, ale występują zawsze „w pobliżu", nawet w niewielkich ilościach. Energia laserowa może posłużyć także do wzmocnienia reakcji fluorescencyjnej wywołanej przez promieniowanie ultradźwiękowe. Metodę tę zastosowała właśnie kanadyjska firma Scintrex w Ontario, w której wykorzystywany jest laser wysyłający światło o częstotliwości 30 impulsów na sekundę i połączony z minikomputerem analizującym dokonane pomiary.(jo)

Olejek różany na... ból zęba

BUŁGARIA (PAI). Znany i szeroko stosowany w przemyśle perfumeryjnym bułgarski olejek różany jest również wykorzystywany w medycynie w leczeniu niektórych chorób skóry, oczu i żołądka. Olejek różany jest również stosowany jako środek znieczulający. Jego działanie jest 25-krotnie silniejsze od eteru. Aby uśmierzyć na 3-4 godziny ból zęba, wystarczy tylko jedna kropla olejku otrzymywanego z płatków róż. (jo)

ROLA SNU W NASZYM ŻYCIU

Niezwykle zaciekawił mnie artykuł kol. J. Kokosińskiego (zamieszczony w Tomiku, „SM" z dnia 25 I br. pt. „Cykliczność życia"). Autor przedstawił w nim swoją teorię na temat powtarzania się motywów życia, których... nigdy nie przeżyliśmy. Sam też doznałem kilka razy tego zjawiska, a więc chciałbym przedstawić swoje zapatrywania na ten temat. Kol. Kokosiński twierdzi, że po skurczu i nowym wybuchu wszechświata może on się zrekonstruować bardzo podobnie do poprzedniego. W skurczu wszechświata miałyby przetrwać cząstki naszej świadomości, które potem „przypominałyby" sobie wydarzenia z poprzedniego wszechświata. Nie wiem w ogóle jak mogą przetrwać w skurczu wszechświata cząstki świadomości. Kol. Kokosiński stwierdza, że wszechświat skurczy się tak, że nie będzie istniał nawet atom. Więc gdzie miałyby się uchować te cząstki świadomości, które potem będą na nas oddziaływać? Drugą sprawą jest to, że przynajmniej ja nie słyszałem o cząstkach naszej świadomości (wnioskuję z tego, że chodzi o cząstki mózgu), które powtórnie mogłyby być „użyte", w tym przypadku u człowieka żyjącego już w nowym wszechświecie. Gdyby istniało coś takiego jak przekazywanie sobie cząstek świadomości, to nie gratoby to żadnej roli w „cykliczności życia", a więc w momentach powtarzających się w naszym życiu niewiadomego pochodzenia. Przyczyna tkwi gdzie indziej.

Kol. Kokosiński zakłada, że wszechświat może odtworzyć się identycznie. Jeśli identyczny moment miałby wydarzyć się w „starym" wszechświecie, to znaczy, że dzisiejsze budowle, ulice, fabryki, byłyby identyczne z tymi jakie były w starym wszechświecie. Z tego wniosek, że wszystko na ziemi już było, a co za tym idzie, działalność ludzi z tamtego i teraźniejszego wszechświata byłaby taka sama (np. mój artykuł byłby w/g teorii mojego poprzednika pisany już miliardy lat temu). Jeśli więc wszystko byśmy robili to samo, przeżywali jeszcze raz smutki i radości, to powinniśmy mieć uczucie, że „gdzieś to już było". Ale tak nie jest, mamy takie uczucie tylko w niektórych momentach. Wszechświat nie może się powtórzyć jota w jotę z konkretnymi myślami i działaniem ludzi.

Mogę tak pisać i pisać, bo można udowodnić, że teoria kol. Kokosińskiego jest nierealna. Nie będę dalej przytaczał swoich argumentów (a jest ich jeszcze kilka) bo myślę, że przekonałem Czytelników, że teoria jest błędna. Wszystkie wyżej przytoczone argumenty nie miały na celu wykpienia teorii, którą sugerował kolega z Katowic, lecz utorowanie sobie drogi, by móc przedstawić na ten temat własną. Może ona się wydać b.fantastyczna i także ktoś może ją obalić, bo przecież taki jest żywot teorii, które nie są poparte dowodami.

Otóż, jak każdy wie, ludzie śnią. Sny są często zapominane, niektórzy ludzie wierzą, że sny są prorocze. Uważam że kiedy ma miejsce moment „cykliczności życia", był on kiedyś śniony, dawno zapomniany, lecz w mózgu został zakodowany i przypomina nam, że taki moment już był. Teza, że sny odgrywają dużą rolę w naszym życiu ma i gorących wielbicieli, i zagorzałych przeciwników. Dla tych drugich przytoczę fakty,

Pewnej Polce w 1941 r. przyśnił się sen, że potknęła się przed czerwonym budynkiem, po czym obudziła się z niepryjemnym uczuciem. Następnego dnia, na jawie, autorka snu choc uwolnić pewną osobę zabraną przez Niemców. W tym celu rozmawia z esesmanem, rozmowa toczy się przed czerwonym budynkiem. i tu następuje moment, który nas tak szczególnie interesuje. Kobieta doznaje uczucia, że gdzieś ten obraz widziała i następuje w niej nie wiadomo czemu niepryjemne uczucie. Kobieta ta rozmawia od tej chwili z Niemcem bardzo ostrożnie, dzięki czemu sama uniknęła zabrania do obozu. Potknięcie się przed czerwonym budynkiem ma znaczenie symboliczne i oznacza niefortunną rozmowę z hitlerowcem.

Snem zajmowali się ludzie od najdawniejszych czasów. Już w Biblii jest mowa o wyjaśnieniu snów (Józef tłumaczy faraonowi sen o siedmiu krowach i siedmiu kłosach). W starożytnej Grecji też tłumaczono sny. Jeden z największych wodzów starożytności Aleksander Wielki król Macedonii, wzywał wróżbitów na wojskowe narady! W średniowieczu rozwinęło się szereg zabobonów związanych ze snem, jak pokutujące dusze, wampiry itp. Snami zainteresowali się w XX w. tacy naukowcy jak Freud, Adler, Jung, Abramowski, Pawłow i inni.

W czasie snu docierają do nas strzępy rzeczywistości, jednak żyjące prymitywne indiańskie plemię Jahganów na terenie Andów odznacza się zdolnością obserwacji otoczenia w czasie snu!

Rozróżniamy wśród snów: a) sen dla wypoczynku, a w nim sen chaotyczny, fantastyczny, symboliczny i pokrewne; b) sen narkotyczny (wywoływany przez narkotyki); c) sen hipnotyczny, w którym poddający się hipnotyzerowi ulega jego sugestii. Dwa ostatnie typy snów, oczywiście nie interesują nas.

Przedstawiłem w ogólnym zarysie moją teorię. Zainteresowanych tą sprawą odsyłam do książki W.Doliński „Co mówią nasze sny", z której pochodzi przytoczony przze mnie sen Polki z 1941 r. oraz do artykułu Tadeusza Gorgola „Co nam się śni", który ukazał się w „Magazynie Polskim" nr 12/80, z którego korzystałem. Tak jak kol.Kokosiński czekam na Wasze opinie na temat, który został określony przez Janusza jako „cykliczność życia" a przeze mnie jako „rola snu w naszym życiu"

Arkadiusz Jan Kilanowski
Toruń

teraz tylko słabym lśnieniem na wodzie, tuż pod jaśniejszą linią, którą od oceanu wciąż jeszcze odcinało się niebo.

Miałem się już odwrócić by biec dokądś – sam jeszcze nie wiedziałem dokąd – gdy światło zgasło; przez chwilę na horyzoncie panowała zupełna ciemność. A potem świetlny punkt zalśnił znowu, odrywając się od powierzchni wody i pomknął w górę – wznosił się, błyszcząc jak jeszcze jedna, chłodna i tajemnicza, większa od innych gwiazda – póki nie zmalał i nie przepadł wśród innych, stając się jedną z nich.

• • •

Obudziłem się wypoczęty: kabinę zalewało słoneczne światło, na biało lakierowanym suficie drgały ruchliwe błyski odbite od drobnej fali łamiącej się o burtę. Wczorajsze wadarzenia wydały się mi narazie zupełnie inne, pozbawione grozy i niepojętych znaczeń; byłem wdzięczny sam sobie, że nie zaalarmowałem nikogo – dając tym hasło do niekończących się badań i dociekań po nocy, jak na to w pierwszej chwili miałem ochotę. Pośpiech niczego nie zmieniał; po świetlistym obiekcie nie pozostało śladu, ja sam nie czułem już nic, co mogłoby stać się podstawą diagnozy.

Należało przeanalizować wszystko dziś, mając wyselekcjonowany, spokojnie przemyślany materiał do rozważań. Golec się, biorąc natrysk z jonizujących kropel, układałem plan postępowania. Niezmiennie czuła z jonizujących kropel, układałem plan postępowania. Niezmiennie czuła aparatura rejestrująca – badawcza zainstalowana na „Ariadnie" dniem i nocą śledziła otoczenie niezliczoną ilością czujników; temperatura powietrza i wody, jej zasolenie, skład chemiczny, prądy, naświetlenie, jonizacja powietrza, wszelkie możliwe drgania, zjawiska magnetyczne, optyczne, wszystkie rodzaje promieniowania i tysiące innych informacji były bez przerwy rejestrowane i kodowane do komputerów; nic z tego, co działo się na statku i wokół niego nie mogło przejść niezauważone – tym bardziej obiekt tak niespotykany jak ten, który widziałem wczoraj. Powinienen zażądać z komputera kompletu określających owe zjawisko danych, jeśli dyskusja nie ma być bezprzedmiotowa.

Zdefiniowanie charakteru widzianego przeze mnie obiektu mogło stać się początkiem nitki, prowadzącej przez labirynt niewiedzy; je przynajmniej miałem na to nadzieję. Co prawda świetliste dyski widywano już dawniej, ale żaden z obserwatorów nie był wyposażony w tak precyzyjny sprzęt pomiarowo-badawczy. Jedyne, jak dotąd, jako tako wiarygodne pomiary, dokonane zostały w ubiegłym wieku, bodajże w 1963 r. przez eskadrę okrętów wojennych państwa zwanego Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej (przydawała się wiedza, którą od kilku miesięcy ładowałem do głowy). Eskadra przez kilka dni śledziła dziwny obiekt, namierzając go przy pomocy prymitywnych co prawda, lecz już dość precyzyjnych sonarów, obserwacje te jednak ograniczyły się do stwierdzenia, że jest on „nienormalny" i określenia tylko dwóch parametrów: szybkości poruszania po wodą, wynoszącej około 150 węzłów i głębokości zanurzenia – około 9000 metrów. Na tej podstawie wykluczono możliwość spotkania z podwodnym, ziemskim statkiem, żaden z nich bowiem nie mógł przy takim zanurzeniu rozwijać takiej szybkości; dało to asumpt do różnych spekulacji myślowych – niektórzy byli skłonni widzieć w świetlistym przedmiocie zjawisko magnetyczne, inni potwora z głębin, jeszcze inni statek kosmitów.

Nim wyszedłem z kabiny połączyłem się z Northem, Irvingiem i Otisem, zaprasząjąc ich na naradę roboczą po lunchu; do tej pory powinienem mieć kompletną informację. Byłem ciekaw jak przyjmą moje rewelacje – na moment wyobrażałem sobie triumfalną minę Irvinga, gdyby okazało się, że obiekt jest pozaziemskiego pochodzenia. Na razie jednak nie była to hipoteza bardziej prawdopodobna od innych, po namyśle poprosiłem więc jeszcze meteorologa Yannisa i zoologa Burtona. Na samym końcu zadzwoniłem do Ray'y – nie wypadało pomijać drugiego na „Ariadnie" fizyka. Mój videotelefon przyjął całkiem zwyczajnie, z nic nie wyrażającą twarzą, co rozzłościło mnie nieco; sprawiał wrażenie jakby nic się nie stało, a przecież musiał też zauważyć świetło, choćby był nie wiem jak pochłonięty całowaniem dziewczyny; ostatecznie świecilo jak wszyscy diabli, nawet przez zamknięte powieki oczy wytaziły człowiekowi z orbit. Ale machnąłem ręką – jeszcze jedno z tych nowych dziwactw, tak kłócących się z dawnym zachowaniem Ray'a.

Poza zebraniem danych pozostawały jeszcze dwie sprawy: wyjaśnienie omyłki chronometru (nadal spóźniał się w stosunku do wszystkich innych o siedem godzin, co mogło oznaczać tylko awarię odbierającego bodźce z rejonowego chronizatora urządzenia) i stan własnego zdrowia.

Cdn.

Binio Bill wśród WESTERNI... W KOSMOS!

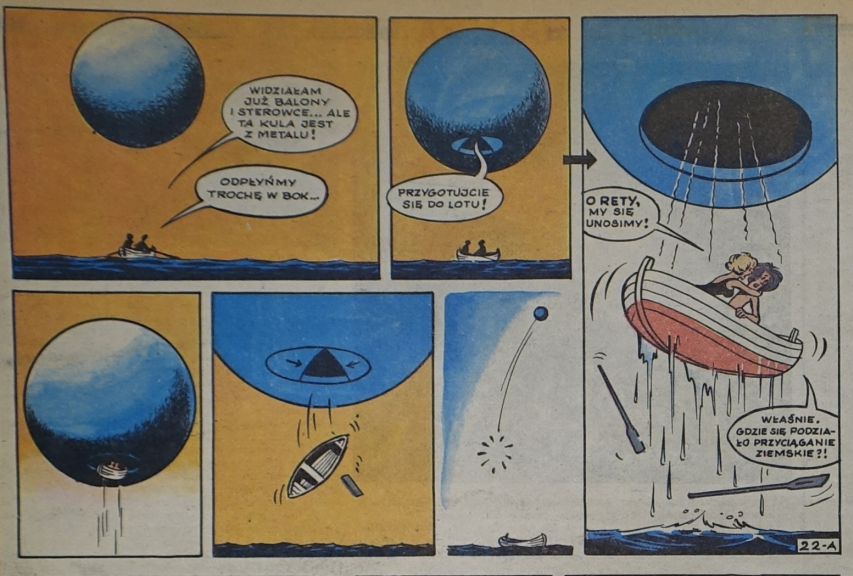

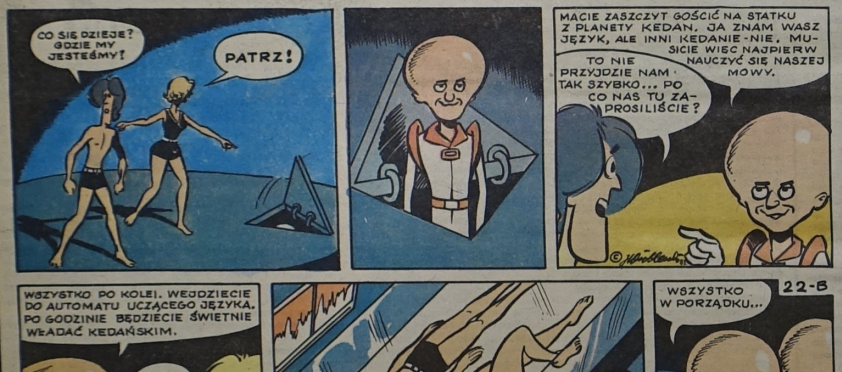

TEKST I RYS. Jerzy Wróblewski

ŚWIAT MŁODYCH

Ukazuje się we WTORKI, CZWARTKI i SOBOTY

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61, sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)

TELEX 81-36-58.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A.
Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.

Opracowanie graficzne
Inna Bójska
Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska
Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska
Nr zam. 4336/G M-90

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY

00-561

UŚMIECH NUMERU

DWAJ FARMERZY – sąsiedzi – mieli konie; oba pasły się na jednym pastwisku. Aby lepiej je odróżniać, jeden farmer skrócił swojemu ogon. Drugiemu się to podobało i on również obciął swojemu koniowi ogon. Więc pierwszy uciął swojemu grzywę. Nazajutrz drugi zrobił to samo swojemu koniowi. Wreszcie pierwszy rozzłościł się i mówi: – Będziemy musieli jednego z tych koni zastrzelić!
– Dobrze, tylko którego – białego czy czarnego...

★

W SZPITALU pielęgniarka pyta Kazia:
– Masz piżamę?
– Nie, mam żółtaczkę...

Przez chwilę walczyłem z chęcią by podejść do nich, ale rozumiałem, że nie powinienem tego robić: stali tuż obok siebie, nie dotykając się, a przecież w jakiś sposób stanowiąc jedność – patrząc na nich wiedziało się natychmiast, że nie znaleźli się w tym miejscu przypadkiem, że oni są tu z sobą. Pomimo to nie słyszałem ich głosów; widocznie stali milcząc. Chciałem się cicho wycofać, gdy Thea poruszyła się w mroku – znieruchomiałem, aby mnie nie dojrzała.

Ale ona w tej właśnie chwili widziała tylko Ray'a – uniosła twarz, ciemny profil zarysował się na tle świetlnej smugi, zobaczyłem jak poruszają się jej wargi – może milczącym drgnieniem, a może temu ruchowi towarzyszył szept, zbyt cichy, abym mógł go posłyszeć.

Byli wciąż jeszcze oddaleni od siebie, ale właśnie Ray zrobił krok i ta odległość przestała ich dzielić. Zobaczyłem jego twarz, nachyloną, zatrzymaną w pół ruchu, jakby zastygłą w wahaniu, krótkim, bo zaraz jego głowa przesłoniła twarz Thei, stały się jedną plamą, czarną na tle płonącego barwami nieba – i odwróciłem wzrok, bo nie chciałem, korzystając z ciemności podglądać ich pocałunku. W tej samej chwili poczułem dziwny smutek, żal – nad nimi? – nad sobą? – tak, jakbym wiedział, że wszystko co się dzieje musi dziać się na próżno, że ich uczucie też musi być zmarnowane.

I kiedy tak myślałem, dziwiąc się owej wiedzy, nie rozumiejąc skąd bierze się we mnie ta równie bezpodstawna co niewzruszona pewność, zobaczyłem nagle zimnobłękitny blask zbliżający się ku nam tak, jakby jego źródło znajdowało się tuż pod powierzchnią wody, rozświetlającej się pasem sinego, rażącego oczy do bólu światła, w którym fale załamywały się ostro i szkliście jakby odlane z przejrzystego metalu. Zbliżał się ku nam z niesłychaną szybkością, z jaką nie mógłby poruszać się obiekt materialny – a w każdym razie: żaden z n a n y nam obiekt materialny. Bez tchu patrzyłem na ową podwodną błyskawicę, która, zapalając przed sobą i gasząc za sobą fale zmierzała nieuchronnie do przecięcia się z kursem „Ariadny"; sądząc z tempa jej poruszania i rozmiarów owego blasku, zderzenie, mogące skończyć się dla statku tylko tragicznie, było nieuniknione. Oczekiwałem zmiany kursu, błyskawicznego zwrotu, sam nie wiem czego – ale nie działo się nic: statek, prowadzony przez najczulsze, wysoko wyspecjalizowane, reagujące w ułamkach sekund na każde zagrożenie automaty niestrudzenie zmierzał wytkniętą trasą.

Stałem jak sparaliżowany, niezdolny się poruszyć, niezdolny nawet do krzyku; nic nie dawało się zrobić, nie było na to czasu. W kilka sekund od pojawienia się światła wszystko wokół mnie stanęło w upiornym, biało-błękitnawym blasku; zobaczyłem pokład, nadbudówki, szalupę rakietową zawieszoną na żurawikach, reling i tamtych dwoje tak wyraźnie jak widzi się przy świetle błyskawicy. Trwało to równie krótko; zdążyłem zmrużyć oczy, kiedy poczułem, że wielki kadłub statku pode mną unosi się jak gdyby z westchnieniem i prześlizguje nad czymś – tak jak mógłby to zrobić wąż pełznący poprzez wypukłość gruntu; w tej samej chwili oślepionymi oczyma wirowały mi ciemnoczerwone i pomarańczowe kręgi, lecz mimo to dostrzegłem, że oślepiający blask przygasł – łuna oddalała się, świecąc na grzbietach fali, tak samo szybko jak przedtem się pojawiła.

Chwyciłem oddech wciągając z sykiem powietrze przez zaciśnięte zęby – dopiero w tym momencie zdając sobie sprawę z tego, jak silnie zwierałem szczęki. Tajemniczy, świecący obiekt dosięgał horyzontu, był

Dokończenie na str. 7